ROK I. Nr. 36. 29 września 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Tryumfalny powrót z podniebnych sfer. (Sue Caroll, Arthur Lake i David Rollins, fot. Fox).

Co słychać na świecie?

Gdy Polska w 1926 r. została wybrana do Rady Ligi Narodów, gdy równocześnie większością trzech czwartych głosów otrzymała przywilej ponownej reelekcji po upływie swej trzyletniej kadencji, pesymiści—a takich było wielu — usiłowali narzucić opinji publicznej przekonanie, że mozolne gwarancje nie mają realnej wartości, że prawo do ponownego wyboru nie ma praktycznego znaczenia. Pesymiści okazali się złymi prorokami i gorszymi jeszcze politykami, Polska została ponownie obrana do Rady i to niemal jednomyślnie, bo 50 głosami na 53 złożonych, a więc głosami wszystkich państw prócz własnego, Litwy i Norwegji. Tak imponujący wynik wyborów — rekordowy w dotychczasowej praktyce — ma swe głębsze polityczne znaczenie.

Jednomyślność członków Ligi Narodów oznacza, iż opinja międzynarodowa uznała prawa Polski do mocarstwowego stanowiska i zaaprobowała jej współpracę z innymi narodami dokoła budowy wspólnej lepszej przyszłości. wystarczy przypomnieć, że myśl rzucona przez Polskę na przeszłorocznem zgromadzeniu Ligi Narodów zakiełkowała i przyoblekła kształty realne w postaci paktu Kelloga. Wystarczy stwierdzić, że Polska zawsze, we wszystkich wypadkach, w których jej interesy i sporne problemy w stosunku do innych państw bywały przedmiotem zainteresowania Ligi Narodów, okazywała maximum dobrej woli i pojednawczości, czy kiedy chodziło np. o kwestje mniejszości narodowych, czy o spory, wytaczane przez Litwę. Polityka polska na forum Ligi Narodów zaskarbiła zaufanie Ligi i stała się powodem, że moralne gwarancje nie zawiodły w praktyce.

* * *

Oczekiwano w Genewie wyjaśnień od Mac Donalda w kwestji palestyńskiej. Niestety, oczekiwania zawiodły. Cóż mógł zresztą powiedzieć w tej sprawie sternik łodzi brytyjskiej między Scyllą żydowską i Charybdą arabską? Chyba tyle, że i z lewa ale i z prawa niedobrze. Istotnie, trudno o bardziej skomplikowaną i drażliwą sprawę.

Ofiarą antagonizmów arabsko - żydowskich musi paść Anglja. Żydzi oskarżają ją o nieszczerość, o niedołężne sprawowanie gwarancji i niedostateczne zrealizowanie idei Balfoura. W całym świecie żydowskim, to znaczy na całym świecie, odbywają się zebrania protestujące i grożące, a pogróżek finansjery żydowskiej nie trzeba lekceważyć. Arabowie znowu stanowczo domagają się od Anglji odwołania deklaracji Balfoura, zaniechania kolonizacji żydowskiej i utworzenia parlamentu — a z Arabami, którzy stanowią poważny element nietylko w Palestynie, ale w całem Imperjum Brytyjskiem, nie dobrze jest zaczynać — Anglicy o tem wiedzą. Najgorsze zaś z tego wszystkiego, że charakter mandatu kategorji A, do którego jest zaliczona Palestyna, wymaga od państwa sprawującego mandat zwołania konstytuanty i zorganizowania parlamentu. Tak zresztą Anglja już postąpiła sobie w Iraku i Transjordanji a Francja w Syrji. Otóż w obecnych warunkach zwołanie parlamentu, w którym 80% głosów byłoby arabskich, nie wróży nic dobrego dla Sjonu. Żydzi to rozumieją i nawołuja do wzmożenia kolonizacji, ale czy wielu znajdzie się kandydatów na męczenników i bohaterów wśród Izraela? I tak źle i tak niedobrze, a choć narazie niepokoje stłumiono zbrojną ręką — lepiej Anglji nie poruszeć sprawy palestyńskiej...

* * *

Polityka wewnętrzna w Italji zawiera masę ciekawych szczegółów. Przypisać to należy, oczywista, niezwykle silnej indywidualności dyktatora i coraz głębiej ugruntowującym się wpływom jego wśród najszerszych sfer narodu. Zrzeczenie się przez Mussoliniego tek ministerjalnych, które dotychczas dzierżył w swojem ręku, daje dużo do myślenia. Krok ten niechybnie został wywołany jakąś dalszą koniecznością taktyczną, nad którą zastanawia się opinja całego świata. Rozeszły się nawet pogłoski, iż w związku z mającą jakoby nastąpić proklamacją świetego Rzymskiego Cesarstwa z włączeniem Węgier, Mussolini pragnie przekonać się, czy znajdą się wśród wysuniętych przez niego mężów politycznych ludzie na dość silni, by mogli dźwigać w razie potrzeby obowiązki dyktatury. Il Giornale d'Italia wyjaśnia ostatnią mowę Mussoliniego, jako wyraz dążenia do silniejszego zespolenia rewolucji faszystowskiej z państwem. Obsadzenie stanowisk rządzących przez odpowiedzialnych, a zarazem wypróbowanych ludzi utrwali zdobycze rewolucji.

* * *

Inaczej atoli dzieje się na Litwie. Oto bowiem ostatnie incydenty, zaszłe na tle t. zw. „pleczkajtjady" skruszyły wreszcie autorytet Waldemarasa. Najbardzie paradoksalnym w tej sytuacji jest fakt, iż przewrót kowieński nastąpił bez użycia bomb, za które przytrzymano Pleczkajtisa.

Cała ta sprawa wygląda coraz bardziej na prowokację — zachodzi tylko pytanie przez kogo i dlaczego wywołana. Litwini, jak należało się spodziewać, oskarżają nas o tajemnicze praktyki, zwrócone przeciw ich niepodległości. Czyż jednak przedewszystkiem Pleczkajtis istotnie został przytrzymany?...

Jest faktem atoli, że Waldemaras ustąpił, a to najważniejsze, gdyż światu całemu obmierzło jego pieniactwo...

J. G.

Powódź zagranicznych ministrów



W ciągu jednego niemal tygodnia kilku ministrów zagranicznych odwiedziło Polskę — Bonnefous, przybyły z Francji, Nowak z Czechosłowacji, obaj ministrowie Przemysłu i Handlu, i nawet łotewski minister sprawiedliwości, który miał sposobność zapoznania się z wzorowym stanem naszego więziennictwa.



W związku z dymisją Łunaczarskiego szef cenzury sowieckiej, Swiderskij został odwołany z Komisarjatu Kultury i mianowany posłem Z. S. S. R. w Rydze.



Komisarz ludowy finansów, Frumkin został odwołany z zajmowanego stanowiska za ostre wystąpienie przeciw metodom politycznym obecnego gabinetu.



Współpracowniczka naszych wydawnictw „7 Dni" i „Teatru i Życia Wytwornego" p. Jadwiga Kiewnarska (Well) została wyróżniona I-ą nagrodą na konkursie „Roju".



Rozdmuchany do największej sensacji proces Wójcika został zakończony wyrokiem, skazującym oskarżonego na 2 lata więzienia. Obrońca Kijeński założył apelację.



Osławiony nasz „przyjaciel", Waldemaras ustąpił ze stanowiska premjera. Dotychczasowy minister Handlu i Finansów, Tubelis został mianowany szefem rządu.



Dziesięć tysięcy dzieci przedefilowało przez ulice Londynu, udając się do Katedry Westminsterskiej na obchód jubileuszu wiary katolickiej. Imponującą tę procesję prowadził J. E. Kardynał Bourne.



W ubiegłą niedzielę przybyły do Warszawy po długiej tułaczce na obczyźnie zwłoki Joachima Lelewela. Ilustracja nasza przedstawia moment składania wieńców przez młodzież. (fot. Prasa).



Stosownie do uchwały powziętej na konferencji w Hadze obradują obecnie w Paryżu komisje celem opracowania zastosowania planu reparacyjnego Younga. (fot. Wide World).



Uruchomiono w Londynie żeńskie patrole pomocy automobilistkom. Pomysł wcale oryginalny...



Ostatni cesarz chiński, przebywający na wygnaniu w Tientsinie, został zmuszony do podnajęcia części swego mieszkania z powodu braku środków.



Prefekt policji paryskiej, Chiappe składa kondolencje rodzinie zamordowanego Szefa Centrali Inwigilacyjnej.



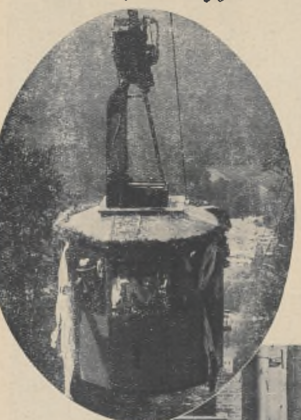
Wojska belgijskie powracają z Renanji do Brukseli.



Uroczystość otwarcia Parlamentu w Hollandji.

BRUNO WINAWER.

Turniej maszyn



Miast wspinać się z mozołem na szczyty górskie można tam dojechać koleją. Wagon na linie w Bad Habsburg (477 m.) (Fot. Wide World)

Z Ameryki nadchodzi wiadomość, że w pewnem pomysłowem mieście Stanów wyprawiono pogrzeb oficjalny ostatniego tramwaju i czterech czarnych karawaniarzy spaliło publicznie na stosie ostatni smutny „wagon elektryczny” na rynku. *Tramwaj się przeżył!*

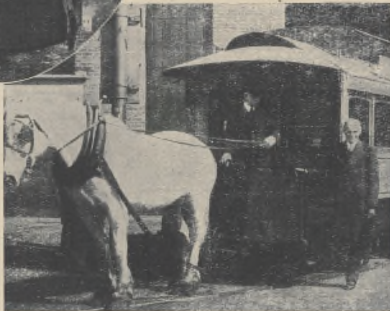
Niedawno pisaliśmy w feljetonach i książkach o tem, że dziarski koń znika z naszych dróg i ulic, tworzyliśmy wiersze liryczne o skazanym na zagładę wąsatym dryndziarzu, o fiakrze, o sałaciarzu i jego łysej kobyle. Dziś w wielkich miastach europejskich konduktor chodzi między pustemi ławkami, a dzwoniący bez przerwy motorniczy denerwuje ludzi niepotrzebnie i zwinnym autom i autobusom zagradza drogę w biały dzień. Wóz elektryczny przeniósł się *pod ziemię* i tam — pod powierzchnią, w tunelach — suną czyste wagony, popychane prądem z centrali, drzwi się zasuwają i otwierają automatycznie na stacjach, tłumy czekają na dworcach, ukrytych głęboko pod placami i gwarnemi ulicami. Tramwaj elektryczny, wyparty z miasta przez samochód, schował się, zapadł głęboko i wyrzucił nawierzch dawną kolejkę parową, lokomotywę, która znowu kopci gdzieindziej, poza rogatkami większych osiedli ludzkich. Na plantach i szynach dudnią wagony, trudzi się zasmolona, zamorusana lokomotywa Stephensona, ale jej właściciele — towarzystwa akcyjne i państwa — patrzą dość melancholijnie w przyszłość. Wprowadzają wciąż nowe reformy, czyszczą, szorują, dezynfekują samowary, karmione węglem... Napróżno! Jeżeli nie zawiodą znaki na niebie i ziemi — zbliża się koniec kolei parowej. Trakcja elektryczna! Samochód! Tak brzmią ostatnie hasła...

Żyjemy tedy w czasach, kiedy nawet maszyny biorą się za łby albo za bary. Generator walczy z kotłem parowym, motor Diesla z silnikiem wybuchowym. My — publiczność — niewiele z tego rozumiemy, boje i turnieje odbywają się na jakichś terenach, dla nas niedostępnych. I czasem tylko spostrzegamy naraz pewne zmiany raptowne, pewne efekty nieoczekiwane.

Palacz okrętowy był zawsze uczerniony węglem, półnagi, oblany potem umorusany sadzą... Dziś siedzi w czystej kabinie, w białym płóciennym kitlu i reguluje jakieś krany, ogląda manometry. Co się stało? Płynne paliwo zwyciężyło węgiel, statki nowoczesne spalają mazut, ropę naftową. W portach łączą się długą kiszką albo rurą z tankiem, odnawiającym w ten sposób zapasy i zgrzytanie wind, tumany pyłu węglowego, worki, przekleństwa, huki, wrzaski zasmolonych tragarzy nie należą już do rzeczy najbardziej charakterystycznych i najbardziej nieodzownych. Znikają poprostu, jak ręką odjął! Palacz się zmienił, okręt się zmienił: ma inne serce, inne kształty, inne kominy...

Otrzaskaliśmy się wreszcie z lotnictwem. Panie w kawiarniach berlińskich rozmawiają po obiedzie o próżniach powietrznych, o korkociągach, o pilotach, o skrzydłach, śmigłach i widokach z kabiny... Nagle — nadchodzi wiadomość, że stary balon systemu Zeppelina nabrał wigoru, wyzwał aeroplan na „udeptane niebo”, obleciał ziemię dookoła w czasie rekordowym, wzbudził entuzjazm w kapitalistach amerykańskich. W Stanach Zjednoczonych powstaje transatlantyckie towarzystwo przewozowe i lada dzień wsadzą nas do gondoli lśniącego sterowca, będziemy fruwali we wnętrzu latającej ryby. Panie w kawiarni będą rozprawiały o niżach barometrycznych, halach, masztach kotwicznych, wiązaniach aluminjowych i balonikach, napełnianych helem... Żegluga powietrzna zmieni zupełnie nasz dotychczasowy słownik i światopogląd: będziemy pasażerami podniebnych lewjatanów, nie metalowych żórawi...

Oswoiliśmy się trochę z falami elektrycznemi, z radjofonją, wiemy, że antena zwyciężyła druty, szpule, przewodniki, że głos ludzki dociera do Australji przez eter... nagle znakomity wynalazca Pupin obmyśla jakieś niebywałe zwoje czy szpulki, kabel zrywa się do nowego życia, telefon Londyn — Warszawa, a nawet Londym — Moskwa funkcjonuje świetnie, walka między przewodnikiem i anteną rozgorzała na nowo...



Henryk Ford, jako woźnica tramwaju konnego, który w r. 1868 kursował w największem centrum przemysłu samochodowego, w Detroit. (Fot. Photoplat)



Generalna maszyna dla wytwarzania pogody — deszczu, burzy, upału i t. p. na żądanie publiczności kawiarnianej. (Fot. Wide World)

Ciekawe też, co miałby dziś do pisania Jules Verne, boć przecież postęp tak szybko prze naprzód, iż w chwilę rozpoczęcia książki o podróży dookoła świata — powiedzmy w 6 dni — niewiadomo, czy jaki Eckener na złość autorowi nie zdobędzie nowego rekordu — nowej podróży w 4 dni. A wówczas najśmielsza fantazja wyda się śmieszną, a autor pozyskać może miano „blagiera naodwrót”.

Krótko mówiąc — dawniej fascynowały nas wyścigi konne, dziś czytamy w depeszach o *wyścigach samochodów*, tłumy ludzi czekają na mecie, aby się dowiedzieć, kto zwycięży: Alfa-Romeo czy Mercedes - Benz? Gazety zamieszczają sążniste depesze o gonitwach hydroplanów i fotografje tegorocznego zdobywcy „puharu Schneidra”... Na ulicach miast naszych żarówka zmaga się z lampą łukową i rurką neonową...

Gdybyśmy przynajmniej mogli sobie powiedzieć, jak to niegdyś bywało, że nas te walki i zapasy nic nie obchodzą. Napoleon nie chciał gadać z wynalazcą łodzi parowej, Fulstenem, bo uważał, że ma ważniejsze sprawy do załatwienia i palnął — jak wiadomo — jedno z największych głupstw w swojej długiej karjerze dyplomatycznej. Wilhelm pruski, kiedy mu tłumaczono zasady „trakcji parowej”, ruszał ramionami i niecierpliwił się:

— Lokomotywa? Pasażer będzie o pół godziny wcześniej w Poczdamie? No więc co z tego? Poco ma się śpieszyć do Poczdamu? Układać tory i szyny kolejowe dla tak błahych powodów? Nonsens.

Dziś jesteśmy sprytniejsi od Napoleonów i Wilhelmów! Wiemy, że od turnieju maszyn zależą losy państw, formy rządów, przyszłość Europy i krajów egzotycznych... Ale reguły tej gry są dla nas za trudne i trochę nam się chwilami w głowie mąci.

Na szczęście młode pokolenie jest od nas zdolniejsze. Małe berbecie rozprawiają o motorach, autach, silnikach, antenach, odbiornikach, aeroplanach...

Turniej maszyn zdobył najlepszą publiczność — nasze dzieci się nim interesują.



Skoro tylko zostanie zanotowany nowy kurs na giełdzie w New-Yorku, wiadomość tą przesyła się do 1600 ośrodków w Stanach Zjednoczonych. (Fot. Underwood & Underwood)



JERZY MARJUSZ TAYLOR.

W kotle czarownicy

Ogień płonący w otworze wydrążonej w murze czeluści, której niepodobna obdarzyć niewinnem mianem kominka, złowrogim blaskiem oświetla mury, ułożone z wypalonych starannie olbrzymich cegieł gotyckich. A na tych cegłach barwy jasnokrwistej widnieją miejscami ciemniejsze plamy krwi prawdziwej, co niegdyś wytrysnęła tu z ciał ofiar sprawiedliwości wczesnego i późnego średniowiecza. Znajdujemy się przecież w podziemiu starożytnego zamku, w krwawej sali męk. Pełno tu kleszczy żelaznych, obcęgów i innych straszliwych przyrządów, służących do wymuszania zeznań istotnych, lub częściej zmyślonych pod wpływem okrutnego bólu...

Pod smukłym filarem wspierającym sklepienie lochu, stoi stół, przy którym siedzi człowiek, odziany w czarną togę i dziwaczny beret. Przed nim wznosi się coś podobnego do szubienicy. Inaczej trudno nazwać tę ponurą konstrukcję, złożoną z dwóch słupów, połączonych w górze belką poprzeczną. Wisi na niej, przywiązane sznurem za wykręcone do tyłu ręce nagie ciało starej kobiety. Twarz ofiary wykrzywiają drgawki konwulsyjne, oczy nabiegły krwią, usta bełkoczą coś niezrozumiale.

Barczysty i czarnobrody drągal, w obcisłym czerwonym kubraku, istny Mefisto, zadaje dręczonej kobiecie straszne razy długim, a cienkim batogiem Rzemień świszczy przeciągle i spada co chwila, zwijając się wokoło ciała ofiary niby wąż. Torturowana jęczy żałośliwie. Od czasu do czasu z ust jej zrywa się krzyk lub pada jakieś trudne do zrozumienia słowo, które skwapliwie zapisuje człowiek w czarnej todze. Jest bardzo gorliwy i sam zadaje pytania.

— Powiedz, jakiemi czarami sprowadziłaś chorobę na żonę sołtysa. Może smarowałaś drzwi jej chaty maścią magiczną?

— T-a-k! Smarowałam — jęczy czarownica.

Aha! Nareszcie przyznaje się do winy. Oczy sędziego błyszczą zadowoleniem. Po grubym jak tektura papierze szybko biega skrzypiące pióro umoczone w czarnym inkauscie.

— Wyznaj z czego tę maść uwarzyłaś!

Ofiara odchodzi już od przytomności z bólu, jaki sprawiają jej wykręcone, ściągnięte sznurem ramiona.

— Nie wiem — szepcze. — Nie p-a-miętam.

— Nie pamiętasz? Doskonale! Kat! Wrzepić babie jeszcze piętnaście odlewanych.

Znów świszczy straszny rzemień i tajemnica wykrywa się powoli. Wiedźma wyznaje, że maść swą magiczną warzyła z wielu ziół i grzybów jadowitych, zaprawiając ją popiołem z szerści nietoperza i krwią, co wypływa z ropuchy prażonej na wolnym ogniu. Aby zaś maść działała szybciej i skuteczniej, czarownica owinęła ją długą kostką w blasku młodego miesiąca wydartą z nietoperzowego skrzydła.

Ropucha, węże i nietoperz znalazły się w kotle czarownicy. Nie potrzeba było nic więcej do wymiaru sprawiedliwości. Nietylko sądy, ale każdy prostak nawet wiedział przecież, że są to stworzenia jadowite, pełne złości i bardzo niebezpieczne. Każda część ich ciała zawierała odrębny rodzaj zgubnej trucizny.

Biedne ropuchy, biedne nietoperze! Ileż oszczerstw rzucono na nie od czasu, kiedy po raz pierwszy zabrzmiały na ziemi dźwięki mowy ludzkiej. Może jednak stało nie to dlatego jedynie, że są to wszakże pierworodne dzieci nocy. Plemię ludzkie w zaraniu swego rozwoju drżało zabobonnie przed mrokiem, co wraz z odejściem słońca pokrywał las, budząc w nim do życia całe tłumy upiorów i straszydeł dziwacznych.

— Nietoperz! Uciekajcie dziewczyny, bo wkręci się wam we włosy.

Na utrapienie ludziom wylęgły się gdzieś w ciemnościach jaskiń chmary tych stworzeń - dziwolągów. Pewnie, że dziwolągów. Jak mysz wygląda, ma pazury i ciało okryte futerkiem, a lata niby ptak. A przecież wiadomo już powszechnie, że Bóg, oddawszy ludziom ziemię, a rybom wody, ptakom powietrze zostawił. Jakże to więc być może, aby zwierzę czworonożne latało jak nie przymierzając wrona albo jastrząb?

Nie mieściło się to jakoś pierwotnemu człowiekowi w głowie i oto powziął on mętne podejrzenie, że zwierzę to musi być tworem samego djabła? Z biegiem wieków zaś podejrzenie zmieniło się w pewność. Na prymitywnych obrazkach średniowiecza widzimy djabła, zaopatrzonego w czarne błoniaste skrzydła, fruwającego beztrosko w towarzystwie nietoperza, który uchodził za jego wiernego posłańca. A obaj byli znów nieodstępnymi towarzyszami złej czarownicy, co rzucała uroki i jednem zaklęciem potrafiła na człowieka sprowadzić nieszczęście. Ba, mogła go nawet zmienić w zwierzę, gdy chciała. Nic dziwnego więc, że w tych warunkach skromny nietoperz wyrósł na straszliwego potwora, a każda z części jego ciała posiada dziwne własności magiczne, których należało się strzec i obawiać jak zarazy.

Do dziś dnia jeszcze w zapadłych wsiach Polesia czy Wołynia boją się ciemni włościanie nietoperza i zabijają go przy lada sposobności. Biada zaś temu stworzeniu, jeśli da się schwytać żywcem. Rozepną mu starannie skrzydła i przybiją gwoździami nad wejściem do chaty, gdzie będzie wisiało tak długo, aż wreszcie stoczone przez czerwie ciało samo opadnie na ziemię. Taki nietoperz to skarb nad skarby. Zabobonny wieśniak nikomu go nie odda. Bo na chronioną przezeń chatę nie padnie żaden zły urok, nie ima się jej żadne zaklęcie.

— Jedyny to pożytek, jaki z niego mam — myśli wieśniak, spoglądając na swą wiszącą bezsilnie zdobycz. A nie wie nic, że ten sam nietoperz może uchronić jego własne sady od zniszczenia, dzieci zaś od strasznej malarji, której zarazki z brzękiem triumfu roznoszą próżniacze, lęgnące się w bajorach chmary komarów.

Nietoperz należy do ssaków t. zw. rękoskrzydlatych, mogących latać dzięki nadzwyczaj wydłużonym kościom przednich kończyn, pomiędzy któremi rozciągnięta jest naga błona skórna. Tworzy to taki sam mniej więcej przyrząd lotniczy jaki mają ptaki. Tylko że ptak może zerwać się wprost z ziemi i odrazu pofrunąć do góry. Nietoperz zaś z powodu braku piór dokonać tego nie może. Położony na ziemi długo będzie podskakiwać i opadać ciężko, aż wreszcie zdoła poderwać się ostatecznie. Wówczas dopiero, balamując swemi rozciągniętemi błonami osiągnie równowagę i poszybuje hen, daleko, łudząco przypominając mały samolot. Pierwsze też aparaty lotnicze budowano ściśle według tego wzoru. Aeroplan Lilienthala, jednego z ojców lotnictwa całym swym kształtem przypomina nie ptaka, ale właśnie nietoperza.

Szybko i pewnie szybuje na swych błonach małe zwierzątko. Bezszelestnie unosi się najczęściej nad powierzchnią stojących wód, gdzie kłębią się w powietrzu roje komarów i sprawia wśród nich prawdziwe spustoszenie. Straszniejszy to dla nich wróg od każdego innego.

A w gąszczu drzew wiejskiego sadu polatują niezliczone ćmy. Nietoperz wie o tem doskonale. Kieruje się tam i znajduje zdobycz obfitą. Wzrok przytem nie gra prawie żadnej roli w jego polowaniu. Nietoperz ma oczki małe niedowidzące. Do czegóż zresztą przydałyby mu się one w zmroku? Ma zato doskonały słuch i szczególnie wysoko rozwinięte uczucie dotyku. W błonce jego skrzydeł istnieje niezwykle rozgałęziona sieć krwi, co pozwala mu w locie omijać wszelkie możliwe przeszkody, bez pomocy wzroku. Posiada też świetny słuch.. Wskazuje na to wielkość jego uszu, które zarówno z oślemi złożyły się na ogólnie znane przysłowie.

Uszy te, nastawiające się za lada odgłosem pozwalają mu słyszeć zarówno nikłe brzęczenie komara jak i nieuchwytny szelest skrzydeł ćmy nocnej. Dla nich tylko, dla tych prawdziwie niebezpiecznych szkodników straszny jest mały nietoperz, co w ciągu kilku godzin nocy sprawia wśród nich rzeź prawdziwą. A kiedy na horyzoncie ukaże się pierwsze zarzewie wstającej jutrzenki, wówczas pracowite zwierzątko odlatuje precz, do swej stałej siedziby, która mieści się gdzieś w piwnicy starego domu, na poddaszu lub w pieczarze skalnej.



Te ostatnie są szczególnie ulubionem miejscem pobytu nietoperzy. Zaczepione pozurkami tylnych łapek wiszą tu one przez cały dzień niby ciepłą kołdrą otulone w błony swych palczastych skrzydeł. Do różnego użytku służą im te aparaty lotnicze. Młody bowiem, jeśli tak rzec można, niewypierzony jeszcze nietoperz trzyma się zawsze pod skrzydłem i nie porzuca go nawet wtedy, gdy matka szybuje ochoczo, objadając się tłustemi ćmami.

W niektórych państwach Europy Zachodniej dawno już zrozumiano pożytek, jaki przynosi nietoperz, niszcząc szkodliwe owady. Dlatego też w Niemczech np. pobudowano dla tych zwierząt w kilku miejscowościach schronienia specjalne w kształcie niskich wież, gdzie spędzają one spokojnie noce, a nawet zimują.

Zrozumiano więc nareszcie właściwą rolę nietoperza i nikt już nie wyłamuje mu długiej kości palcowej, aby nią mieszać w kotle obrzydliwe ciecze. Zrozumiano i rolę ropuchy.

Poczciwe to niezgrabne stworzenie również wszakże zgoła niesłusznie pomawiano o jakieś djabelskie właściwości. Ropucha w mniemaniu średniowiecza była złośliwym potworem, czyhającym w nocy na człowieka, aby mu plunąć w oczy jadowitą śliną. A jedną z najcięższych poszlak przeciwko czarownicy był fakt, że wiedźma piastowała na swych kolanach obrzydliwą ropuchę. Było to zazwyczaj zeznanie jednej ze złośliwych sąsiadek. Ale przecież czarownica sama się przyznawała, że piekła ropuchę żywcem na rozżarzonych węglach. Pocóż więc zgoła perfidnie pieściła ją przedtem w objęciach?

Otóż nie było to bez kozery. Według wierzeń ludowych, ropucha posiada w głowie klejnot bezcenny, brylant, grający wszystkiemi barwami tęczy, który zdobywcy użyczał wszechmądrości. Nie każda jednak jest takim ruchomym składem jubilerskim. Trzeba być szczęśliwcem nielada, aby natrafić na właściwą. Ale cóż? Wiadomo. Rzecz się tu ma tak samo ,jak z kwiatem paproci.

Dziś nic już nie słychać o poszukiwaczach kwiecia paproci i zaczarowanych brylantów. Wieśniacy zmądrzeli, ale ropuchy nadal nie cieszą się ich sympatją i w wielu miejscowościach tępione są bez litości.

Ropucha nie lubi promieni słonecznych, bo nazbyt suszą jej skórę, więc nad wieczorem dopiero opuszcza swoją kryjówkę, za którą służy jakaś opuszczona nora mysia, lub jamka wygrzebana przemyślnie własnemi silnemi łapkami. Gramoląc się niezgrabnie, lub sunąc naprzód małemi skokami obchodzi cały teren zwykłej swej działalności, upływającej zazwyczaj w obrębie sadu wiejskiego lub zagonów z okopowiznami. Żer ma obfity. Tłuste dżdżownice i niszczące sałatę ślimaki również ukazują się wówczas na powierzchni ziemi, aby skąpać się w rosie i... stać się łupem żarłocznej ropuchy.

Dziś więc na Zachodzie ropucha jest mile widzianym przez każdego ogrodnika gościem. W Holandji kupują ją, płacąc niekiedy dość drogo za tego pożytecznego dozorcę. W Anglji, gdzie ropuchy są rzadkie, sprowadzają je nawet z zagranicy.

Czasy zmieniły się. Teraz już nie czarownice, ale ogrodnicy potrzebują tych dzieci nocy. A dawniej? Stara, głupia baba, której troiło się coś w głowie, chwytała nieszczęsne stworzenie aby znaleźć w niej cudowny brylant lub składniki, potrzebne do obrzydliwego płynu, mieszanego w kotle kostką nietoperza.

Korzyści z tego zresztą miała napewno niewiele, zato ryzyka dużo. Wystarczyło jedno słówko złośliwej sąsiadki i zaraz więzienie, sąd nad czarownicą. A potem podziemie i groźny okrzyk:

— Wrzepić babie piętnaście odlewanych!



Łodzie podwodne

Niedługo już pierwsze polskie łodzie podwodne, budowane w stoczniach francuskich znajdą się w swej bazie, w porcie wojennym w Gdyni. Może się dziwnem wydawać niejednemu „szczurowi lądowemu", dlaczego Polska zaczyna tworzenie swojej floty od małych jednostek bojowych, jakiemi są łodzie podwodne, torpedowce i kontrtorpedowce. Otóż obejrzenie się o lat 10 wstecz i choćby pobieżna ocena tamtych wypadków wojennych, pozwolą najlepiej ocenić potężny wojenny argument jakim były właśnie najmniejsze okręty — łodzie podwodne.

Mowa tu jest oczywiście o nader wybitnej roli, odegranej przez submaryny niemieckie.

Plan sławnego Von Tirpitza, niemieckiego ministra wojny, polegał na stworzeniu ogromnej ilości ulepszonych krążowników podwodnych, któreby zniszczyły blokadę brzegów niemieckich, oraz zablokowały porty sprzymierzonych. O rozpoczęciu wojny podwodnej świat dowiedział się ze zgrozą: oto w końcu lata 1914 r. zatonęły na morzu Północnem od torped niemieckich trzy angielskie krążowniki. Czynu tego dokonała niemiecka łódź podwodna „U9", która najpierw storpedowała krążownik „Aboukir", a następnie kolejno dwa inne, które nadpłynęły na pomoc tonącym. Do końca tego roku ofiarą łodzi podwodnych padło około 50 okrętów handlowych. Komunikacja tak ważna między Anglją i Francją, oraz między Europą i innemi częściami świata — stała się niebezpieczna. Zagrożone są w tym czasie nawet porty francuskie, wobec czego krążowniki francuskie przenoszą się z Cherbourga do Brestu, a kanał Pas de Calais zostaje zagrodzony minami. Coprawda co miesiąc ginie kilka łodzi niemieckich, ale na ich miejsce budowane są nowe i to w tak szybkiem tempie, że liczba submaryn niemieckich zwiększa się nieustannie. Co miesiąc też ginie kilkadziesiąt okrętów handlowych, należących nietylko do sprzymierzonych, lecz do neutralnych państw, ginie pancernik „Formidable", wreszcie olbrzymi transatlantycki parowiec „Lusitania", a z nią 1145 osób — pasażerów i załogi, w tem 118 amerykanów, co, nawiasem mówiąc, wywołuje powszechne oburzenie w Stanach Zjednoczonych i staje się jednym z powodów późniejszego wystąpienia tego potężnego mocarstwa po stronie sprzymierzonych.

Idźmy dalej śladami niemieckich zwycięstw podwodnych. W roku 1915 topią one po 100.000 tonn ładunków, przeznaczonych dla armji sprzymierzonych, oczywiście wraz z okrętami, które ładunki te przewoziły. Liczne środki obronne stosowane przeciwko submarynom przez dowództwa morskie sprzymierzonych mają tylko częściowy skutek.

Z łodziami podwodnemi walczą teraz nietylko okręty wojenne, lecz także i handlowe, oraz rybackie statki, nawet żaglowce, uzbrojone w lekkie działa, hydroplany, olbrzymie sieci, miny pływające na pewnej głębokości, nawet balony na uwięzi i t. d. Mimo to submaryny niemieckie prowadzą dalej swoje straszliwe dzieło zniszczenia. Opinja niemiecka żąda zaostrzenia walki podwodnej, uważając ją za decydujący atut Wielkiej Wojny. Domagają się tego komisje Reichstagu. Znany dziś wszystkim, jako niestrudzony „pacyfista" Stresemann, wówczas poseł liberalny, wygłasza w Krefeld wielką mowę, w której twierdzi, że submaryny niemieckie zatapiają po 350 000 tonn miesięcznie, że liczba ta wkrótce wzrośnie do 1.000.000 tonn i, że Wielka Brytanja, posiadając tonaż 9.000.000 tonn zostanie w kilka miesięcy zupełnie pozbawiona floty handlowej. Prócz Stresemanna zagrzewa naród niemiecki do walki podwodnej kilku wsławionych swemi czynami dowódców submaryn, którzy objeżdżają z odczytami cały kraj. Od łodzi podwodnych w tym czasie giną także pancernik „Russel" pod Maltą, okręt szpitalny „Portugal" na morzu Czarnem, krążownik angielski, „Hampshire" na którym lord Kitchener płynął do Archangielska, francuski krążownik „Suffren" torpedowiec „Surprise" pod Funchalem, krążownik włoski „Citta di Messina" i wiele innych. W lutym roku 1917 Niemcy tracą cztery submaryny, budując na ich miejsce aż dwadzieścia jeden! W marcu ginie od torped 190 parowców pojemności 500.000 tonn, a w kwietniu, kiedy błędy polityki niemieckiej i zbyt po barbarzyńsku prowadzona wojna podwodna, spowodowały wypowiedzenie wojny przez Stany — poszło na dno 750.000 tonn. Główna walka zaczyna się toczyć o transporty żywności. Do końca wojny straciła Ententa 7.000.000 tonn! Trzeba tu dodać że w roku 1916 stworzyli także Niemcy typ wielkiego statku podwodnego handlowego, który z powodzeniem odbywał dalekie podróże podmorskie, przywożąc państwom centralnym brakujące chemikalja i metale.

Polska łódź podwodna opuszcza doki w Le Havre.

Wiele powodów złożyło się na to, że przegrywając Wielką Wojnę przegrały Niemcy, ściśle mówiąc, także i swoją wojnę podwodną. Jednakże ta wojna dała olbrzymi materjał, świadczący o kolosalnem znaczeniu broni podwodnej, szczególniej w walce z silniejszym na morzu przeciwnikiem. Długie miesiące i nawet lata upłynęły, nim zwalczanie niemieckich submaryn przestało być jednem z centralnych zagadnień dla głównego dowództwa sprzymierzonych.

Na Bałtyku obecnie role są zmienione o tyle, że Niemcom zabroniona jest budowa łodzi podwodnych, natomiast posiadają oni już teraz flotę nadwodną, bardzo poważną i groźną nietylko dla nas. Ostatnio budowane i wykończone krążowniki niemieckie są arcydziełami wojennej techniki okrętowej. Flota sowiecka zaś, choć złożona z starych jednostek, może również z całą łatwością stać się panią naszych wybrzeży.

Dlatego to obronę naszych granic morskich zaczynamy od stworzenia broni podwodnej, która najwydatniej może sparaliżować każdą akcję — już poprostu przez sam fakt swego choćby biernego istnienia.

Twos.



Ćwiczenia marynarki polskiej z torpedami

Anegdoty Rody-Rody

STARSZY PAN.

Na rogu *Boulevard Montparnasse i Place d'Observatoire* w Paryżu znajduje się znana kawiarnia „Closerie des Lilas". Jest ona miejscem schadzek paryskich szachistów.

Zdarzyło mi się pewnego razu zasiąść do partji z nieznanym mi starszym panem. Podczas gry zachowywaliśmy absolutne milczenie.

Był to nadzwyczajnie milczący partner, jakiego od bardzo dawna nie mogłem znaleść. Na drugi dzień spytałem się go wzrokiem... On skinął milcząco głową. Zasiedliśmy do gry. Ciągnęło się to przez kilka tygodni. Wreszcie po kilku tygodniach spytał się:

— Czem pan jest z zawodu?

— Literatem.

Graliśmy dalej w milczeniu.

Po jakichś dwuch tygodniach mój partner odezwał się po raz wtóry:

— Grałem już raz z jednym literatem.

— Ach! tak, (po kilku ciągach), a z kim jeśli wolno wiedzieć?

On: Giermek z g5 na h6 — szach!

Ja: Król z f8 na e7.

On: Skoczek z b7 na d5 — szach!

Ja: Król z e7 na e6.

On: Z dosyć popularnym Strindbergiem.

Ja (podniecony): Z Augustem Strindbergiem?! Panie!! Ze Strindbergiem?? Kiedy?? Gdzie?? Tutaj?? Jak się pan z nim poznał?? Co on teraz robi?? Jak wygląda?? Co on Panu powiedział?? Jak Pan z nim długo grał?? Czy on prawidłowo wychodził?? O czem Pan z nim rozmawiał?? Co on na to Panu odpowiedział?? Czy on był w złym, czy w dobrym humorze?? Czy miał jakie zmartwienia?? Czy mówił on o kobietach?? O alchemikach?? O Poetach?? O nienawiści?? O miłości?? O Szwecji?? O Niemczech?? Czy był on młody, czy stary?? Niechże Pan opowiada!!

On: Królowa z f1 na f6 — szach!

Ja: Błagam Pana niech Pan opowie!

On: Pan jest bardzo nerwowym graczem.

Więcej nic już z niego nie wyciągnąłem. Również więcej nie pokazał się.

POSŁANIEC

Podczas mojego pobytu w Monachjum, wszedł pewnego razu do mojego pokoju jakiś niepozorny człowiek, ubrany z waszecia i zamruczawszy coś niezrozumiale pod nosem, położył przedemną na stole dwa kawałki papieru.

— Co mam z tem zrobić? — spytałem.

— Przeczytajcie to sobie i podpiszcie — odparł w miejscowym chłopskim żargonie.

— Dobrze. Proszę poczekać w przedpokoju.

Po kilku minutach zawołałem go do pokoju i powiedziałem:

— Słuchajcie uważnie co wam powiem, żebyście mogli swojemu Panu wszystko dokładnie powtórzyć. O ten kawałek papieru — widzicie go dobrze? — wezwanie — podpisałem. Drugi papier — o ten — na którym napisane jest słowo „Protest" nie należy do mnie. Powtórzcie swemu Panu: Pan Roda Roda niechce tego przyjąć, bo to nie dla niego. — Zrozumieliście?

— Tak, zrozumiałem — wybełkotał.

— I potraficie to dokładnie powtórzyć?

— Możecie się nie obawiać.

— Dla pewności jednak powtórzcie to, co wam kazałem powiedzieć swemu Panu.

Powtórzył.

— Dobrze. Tylko nie zapomnijcie tego przez drogę. No możecie już iść. Ale, ale! Jak się nazywacie. Chcę się potem dowiedzieć, czyście dobrze załatwili moje polecenie?

On: Oskar Maria Graf.

Był to jeden z najznakomitszych naówczas poetów bawarskich.

Jerzy Sosnkowski.

Rekord szybkości

— Wspaniale! — wrzasnął przez tubę.

Lov uśmiechnęła się w odpowiedzi, nie odwracając zresztą bystrego wejrzenia od przestrzeni.

— Pasuję cię na rycerza powietrza — grzmiał dalej Fred, nie zwracając uwagi na niecierpliwe potrząsanie głową Lov, która czuła swędzenie w uchu od potężnego drgania membrany.

Aparat zdawał się posłuszną, żywo istotą w jej dłoniach, dłoniach świeżo upieczonej pilotki. Jej mąż, as lotnictwa, sława i potęga mówił teraz te miłe słowa, siedząc z tyłu, jak bylejaki, nieszczęsny pasażer! Więc koło sterowe opisywało w małych, uzbrojonych grubemi skórzanemi rękawicami nieprawdopodobne linje.

Prądy powietrzne stały się posłusznie pod skrzydła. Atmosfera, ta zwodnica bogów, zdała się całkowicie ulegać małej, krótkowłosej ziemiance. Była promienna, jasna i łagodna, jak dziecko przy piersi. Podejrzliwe spojrzenia Freda, jakie słał od czasu do czasu w błękity — zbyt czyste, jak dla wytrawnego pilota, zbyt równe, zbyt spokojne, — nie mogły odkryć nic podejrzanego. Pławili się w powietrzu, niby dwie rozkochane w sobie jętki, — dwa ptak beztroskie i wspaniałe.

— — — — — —

— Staniesz do rekordu szybkości, jak? — pytała męża przy śniadaniu, nalewając mu kawę. — Firma Otos telefonowała, że aparat według twoich wskazówek jest gotów. Na gród masa. Pomyśl tylko.

Fred leniwie machnął dłonią.

— Daj mi spokój. Nie polecę. Nie chce mi się. Mam złe przeczucia.

— A nie można powiedzieć, by ci się powodziło...

„Yak" — tak go nazywała Lov, — był leniwy. Miał zdecydowany wstręt do wszelkich występów. Mawiał do Lov:

— Yak!, yak! Tylko pospolite bydło żeruje na pasnych łąkach. Zwierz szlachetny, yak, pasie się tam, gdzie nikt nie dotrze. Na pampasach... Nie chcę być zwierzem pospolitem...

— — — — — —

Tak, — ale czasem nie starczało pieniędzy na obiad. I teraz — takby się zdało trochę floty, tyle rzeczy brak w domu.

A Fred coś kaprysi. Jutro start, — aparat gotów, — a Yak nie chce lecieć.

Długo medytowała Lov, aż powzięła decyzję.

— — — — — —

I nazajutrz, na starcie, lotnicy, biorąc udział w międzynarodowym konkursie i rekordzie szybkości, podziwiali nowego, nieznanego konkurenta. Smukły, zbrojny w okulary, których nie zdejmował nawet w kancelarji urzędu, — okulary, które zasłaniały mu całkowicie drobną twarz, — zdawał się być pewny siebie — mimo drwiących uśmiechów zawodników.

— Gdzie Fred? nie leci? — radosne pytania obiegały lotnicze grono.

Zdumienia ich nikt nie opisze, gdy szczupły pilot w olbrzymich okularach oświadczył, że leci w jego zastępstwie. Czuło się uciechę w warkocie motorów startujących aparatów.

— — — — — —

A Lov zdrętwiała ze strachu, podeszła do wspaniałego płatowca. Przedstawiciele firmy czołobitnie udzielali jej ostatnich informacyj, krzątali się, zabiegali, — nie podejrzewając w smukłym lotniku tak słabego zastępcy znakomitości powietrza.

— — — — — —

— Muszę mieć futro na zimę, Fredowi potrzeba pięciu tysięcy na zapłacenie długów, — Frania utyskuje, że niema odkurzacza...

Takie myśli panowały nad świadomością Lov, gdy odziana w skórzane „combinaisons" zapuszczała motor.

A w parę chwil potem zapomniała o wszystkiem

— — — — — —

Atmosfera zdawała się być jakimś abstrakcyjnym oceanem dziwnych tworów. Obłoki, — tam — niżej — niby nieprzejrzane stada — stały na nieprzejrzanych pastwiskach nieba.

Aparat połykał przestrzeń. Już w kilkadziesiąt sekund po wystartowaniu, Lov musiała zrobić ostry wiraż, by nie ujść oczu sędziów. Omal nie zawadziła skrzydłami o skrzydło szybującej obok maszyny. Nacisnęła pedał. Poszła w górę tak ostro, iż zdało jej się przez chwilę, że przejdzie w looping, co znaczyłoby „amen" w konkursie. Więc znowu pedał.

— Ci, w dole, musieli pomyśleć, że oszalałam — przemknęło jej w myśli.

I dopiero wtedy zapanowała nad tą wściekłą potęgą, oszołomiającą ją w aparacie, kiedy zobaczyła przed sobą w dole białą linję, a dalej drugą,—dwie białe kreski między któremi zamknięte były dwie abstrakcje: zwycięstwo i porażka.

Firma Otos postarała się.

Lov drętwiała, uświadamiając sobie, że jest sam na sam w przestworzach z tą niesamowitą siłą, z tym orkanem, szalejącym w drobnych skrętach rur motoru. Coś niepojętego, coś strasznego, coś przemożnego dygotało w splocie powyginanych przemyślnie żelastw, przed nią zaklęta wszechmocną ręką człowieka energja, powstająca znikąd, żyjąca w bezdusznym kruszcu, niewidzialny, utajony duch, twór nie Boga lecz jego namiestnika *człowieka*, coś czego istnienia niczem nie mogła sobie wytłomaczyć, — to *coś* było teraz razem z nią w niezmierzonej przestrzennej pustyni i ta świadomość przygniatała ją, młodą kobietę, stworzoną przecież do tego, by nią się opiekowano, by ją broniono przed obcemi, strasznemi siłami.

Ale w momentach, gdy ze strachu mdlały jej ręce, — wracał przed oczy obraz Freda, tego ukochanego nad wszystko. I pragnienie poświęcenia się, ofiary, unicestwienia się dla jedynego — odwieczny szczery instynkt kobiecości przywracał znowu sprawność ramionom, rzeźwił myśl, podtrzymywał ducha, dawał możność panowania nad wściekłym aparatem. A aparat wściekał się i z każdą chwilą nabierał mocy, rzekłbyś, upijał się własną potęgą. Lov niespokojnem okiem rzucała na boki i widziała wyraźnie, jak drżą w niesłychanem napięciu końce skrzydeł. Maszyna brała pęd największy.

I nagle w Lov nastąpił przełom. Strach został wyparty przez zajadłość. Ogarnął ją gniew na tego potwora, który ją niósł I to gniew tak gwałtowny, że przestała myśleć o sobie, o Fredzie, o świecie. Całe istnienie zawarło się na chwilę dla niej w tym skrawku materji, jaką czuła pod sobą w otoczeniu powietrznej pustki.

I dała pełny gaz.

Ryk motoru zabrzmiał niby zew zwycięski wyzwolonej bestji. Latawiec zadygotał z roskoszy. Prężył się i rwał w przestrzeń, aż Lov poczuła tysiące mrówek, tak jakby się poddała działaniu silnego prądu elektrycznego.

Pęd powietrza mimo maski ochronnej, sprawiał iż wcale prawie nie mogła oddychać. Na uszy parł ciężar. W mózgu pustka przeraźliwa, wargi suche, których nie mógł zwilżyć rozpalony język.

Traciła prawie przytomność w zapamiętaniu, — kiedy, mimowoli rzuciwszy okiem w dół zobaczyła białą krechę mety...

— — — — — —

Oprzytomniała właściwie dopiero, gdy ją Fred z przyjaciółmi wynosili z aparatu. Podobno miała wtedy zwykły, tak miły uśmiech na twarzy...

Ale nic nie pamiętała, prócz tego, że już potem, zawsze, na aeroplan patrzyła ze zgrozą i nienawiścią. Traktowała aparaty jako żywe bestje, wrogie, złośliwe, ujarzmione przez władcę — człowieka, ale gotowe do buntu i zemsty przy lada okazji.

Rekord był wzięty i nagrody też. Siedziała na werandzie klubu lotniczego, jeszcze półprzytomna, zasłuchana w nieustający terkot motorów.

Fred oszalał. Wsiadł na maszynę jeszcze rozedrganą od pędu i mścił się na niej. Takich brewerji, jakie jął wyprawiać w powietrzu, nikt jeszcze nigdy nie widział. Weranda klubu trzęsła się od oklasków.

A Lov uśmiechała się.

— — — — — —

Futro zostało kupione, długi Freda popłacone. I tylko dziwnem się to wydawało Fredowi, czemu Lov więcej latać nie chce...



...Czuło się uciechę w warkocie startujących samolotów...

Czy wiecie że...

...Polska posiada 333 więzienia, w których w ubiegłym roku odsiadywało karę przeciętnie 29769 przestępców, wśród nich 816 nieletnich.

...tramwaje warszawskie mogą jechać na ulicach ciasnych z szybkością do 30, na innych ulicach z najwyższą dopuszczalną szybkością 40 kilometrów na godzinę.

...koszt budowy piekarni miejskiej w Warszawie wynosił 3 miljony 347 tysięcy 769 złotych.

...Stany Zjednoczone postanowiły wypuścić banknoty dolarowe nowego typu. Jednym z powodów wypuszczenia nowej emisji była nadzieja „zarobienia" przy tej sposobności kilkuset miljonów dolarów nie przedstawionych do wymiany bądź też z powodu „przeoczenia" terminu wymiany przez Europejczyków.

...obliczano, że każdy turysta amerykański, udający się zagranicę, wydaje w podróży nie mniej 1000 dolarów, przyczem stwierdzono, że w ubiegłym roku udało się zagranicę 500 tysięcy obywateli amerykańskich w celach turystycznych. Wynikałoby więc z tego, że wydali oni 500 miljonów dolarów.

Vinum Hungaricum



Piękna Węgierka roskoszuje się widokiem olbrzymiego grona. (Atlantic).





Węgry to kraj znany z ognistej miłości, ognistych dziewcząt, palącej papryki i płomiennego wina. Wino jest głównym produktem eksportowym. To też plantacje winogron stanowią prawdziwą troskę ludności. (Atlantic).



W okresie winobrania odbywają się na Węgrzech tradycyjne uroczystości, połączone z symbolicznemi tańcami. (Atlantic).



Charakterystyczny zaprzęg wieśniaków (u góry). Szklanka dobrego tokaju rozgrzewa krew i dodaje chęci do życia (u dołu).



PRZY WĘGRZYNIE

Nil vinum, nisi hungaricum...
Z sąsiadem sąsiad i z kumem kum,
ciągnęli radzi węgrzyna z szklanic,
o nic nie dbając, nie bacząc na nic.
Szablami sobie czynili rum,
mawiając: — Eques polonus sum!
Nil vinum, nisi hungaricum!...



Nietylko poza granicami Węgier zachowała się tradycja wina węgierskiego. Oto poczciwy proboszcz, u którego zawsze można zastać ten trunek, starego rocznika i przedziwnego smaku. (fot. Sfinks).

Naród, który chodzi do szkoły...

Jednym z epokowych czynów reformatora Turcji Kemala - Mustafa - Paszy, jest niewątpliwie zmiana pisowni z arabskiej na łacińską, jako ważny krok na drodze zbliżenia Turcji do Zachodu.

Reforma ta, podobnie jak wszystkie zarządzenia dyktatora, została zaprowadzona bezwzględnie i szybko, trzy tygodnie bowiem pozostawiono urzędnikom na naukę, kto zaś nie zdał po upływie tego czasu egzaminu — tracił stanowisko, choćby nawet mógł się wykazać największemi zasługami.

Dekret Kemala Paszy nie oszczędza nawet starych kobiet, które pilnie studjują tajemnicę abecadła

Sytuacja wyraźna i zdecydowana!

I oto, kiedy 1 grudnia 1928 r. wszystkie dzienniki poranne z urzędowym „Hakimietti i Millie" na czele ukazały się w nowej formie — nie było takiego zatraconego, najmniejszego chociażby urzędniczyny, któryby nie znał nowych form pisowni.

Przypomina mi się w tem miejscu pewien reportaż przedwojenny o dworze Ab-dul-Hamida, którego autor wprowadzony został do jednego z licznych kjosków, rozsianych wśród parków rezydencji sułtana.

— Oto stół, przy którym padyszach najchętniej zajmuje się korespondencją — oświadczył oprowadzający dworzanin.

Na stole stały istotnie wszystkie przybory do pisania — kałamarz jeno był... pusty.

— Jakże to? — pyta zdumiony dziennikarz — czyż sułtan nie podpisuje „iradje"?

— Słowo wielkiego padyszacha, jedno jego skinienie wystarcza za jego podpis — odparł z przekonaniem dworzanin.

Łatwo sobie wyobrazić, jak przedziwne rzeczy mogły się zdarzać przy podobnym systemie ustawodawczym!... Sułtan nie pisał — a cały naród nie umiał czytać!

Wróćmy jednak do naszego tematu. Aby zdać sobie sprawę z ogromnego wysiłku dokonanego przez cały naród turecki w dziedzinie reformy pisowni, trzeba zwiedzić szkoły powszechne i kursy dla dorosłych.

W niektórych szkołach, przeważnie w ubogich dzielnicach miasta, widuje się: tragarzy, czyścicieli butów, woźniców, ludzi w różnym wieku, czasem nawet po 40 roku życia, który jest przecież kresem przymusu szkolnego. Widać na twarzach tych rzesz dziecinną wprost radość, gdy któremu z nich uda się wypisać zamierzony wyraz, bo wszystko to czynią z głęboką wiarą w celowość wszelkich zarządzeń wielkiego dyktatora!

Szkoły takie uczęszcza ne bywają nietylko przez tych, którzy pragną nauczyć się władania nową pisownią. Reforma ta zachęciła również analfabetów, którzy z zadziwiającą pasją i zarazem z entuzjazmem pochłaniają naukę. Nierzadko zdarza się widzieć, jak analfabeta — tragarz lub czyściciel butów, już po miesiącu uczęszczania do szkoły, z dumą wypisuje kredą na chodniku litery swego imienia i nazwiska. Szyld nie tyle zawodu, ile szlachetnej ambicji!

W porównaniu z mężczyznami, kobiety uzyskują lepsze i szybsze rezultaty. Niewiadomo, czy efekt ten jest wynikiem, iż kobieta ma więcej czasu, czy też, że bardziej od mężczyzny docenia równouprawnienie, jakie im przynoszą nowe reformy.

Wzajemny stosunek nauczycieli i uczniów jest idealny. Nikt się nie skarży na przeciążenie pracą, mimo, że nauczycielowie pracują bez wytchnienia od wczesnego rana do późnej nocy i to bez odpoczynku piątkowego.

W rozmowie z europejczykami, nauczycielowie ci, wypytywani o wyniki swej pracy, wyrażają przeważnie następujący pogląd:

— Nie jesteśmy zmęczeni i nie prędko spoczniemy, bo cóż znaczy nasz wysiłek wobec widocznych rezultatów: w krótkim czasie nie będziemy mieli analfabetów. Niechaj Europa będzie przekonana, że stara legenda o zacofanej Turcji, niezdolnej do żadnych wysiłków ducha i wpatrzonej w pełną ciemności przeszłość — już przestała istnieć. Jesteśmy narodem młodym, dla którego ta właśnie młodość jest siłą wyższą i władczą ,a nie zaślepiającą. Zdobyliśmy się na wielki czyn: znów zaczęliśmy chodzić do szkoły.

Naród, który chodzi do szkoły... Cały naród, jak jeden mąż, wpatrzony w świetlaną przyszłość, która po tylu latach zabłysła wreszcie i na Bliskim Wschodzie!

Cud... Cud taki sam, jak powstawanie na ruinach grodu rzymskiego współczesnego miasta, pierwszej stolicy, którą Turcy wybudowali własnemi rękoma.

Cud?... Cudów wszak niema na świecie. Rodzą się jeno ludzie silni i odważni, godni przewodzenia masom, które, powolne najmniejszemu ich skinieniu, gotowe są na największe poświęcenia.

(m. s.)



Jeszcze niedawno można było spotkać na ulicach Konstantynopola stoliki pisarzy ulicznych, załatwiających korespondencję prywatną i urzędową licznej klijenteli. (Wide World)

Fortuna kołem się toczy



Córka Maharadży Bundwanu do spółki z dwiema damami z arystokracji angielskiej otworzyła w Londynie sklep ze starożytnościami. (Atlantic)



Panna Anderson, daktylografka angielska wygrała na wyścigach nagrodę Saint Leger w wysokości 1,984.000 franków. (Wide World)



19-letnia Maria Renesa de Lenida, „Miss Meksyk" została skazana na śmierć, za zamordowanie męża

Leczenie przestępców

Minęły dawno czasy, kiedy za zwykłą kradzież kieszonkową karano torturami, a za przyznawanie się do innych, aniżeli ogólnie przyjętych zapatrywań — palono nieszczęsnych przestępców na stosie. Kodeksy państw cywilizowanych ustanawiają dziś karę śmierci tylko w wypadku morderstwa wykonanego z premedytacją.

Ustawy dzisiejsze są więc znacznie łagodniejsze, a jednak mimo to jeszcze sądy ze swej strony starają się stosować tylko minimum kar, rzadko uciekając się do kar maksymalnych. Ta dążność humanitarna jest przeważnie wynikiem zapatrywania, że źródło większości zbrodni i przestępstw tkwi w nieodpowiedniem wychowaniu, w ciężkich warunkach życiowych, lub jest wynikiem różnych obciążeń atawistycznych, czyli, wyrażając się ogólniej, zbrodniarz jest człowiekiem anormalnym, chorym, względnie nieszczęśliwym, którego właściwie należałoby leczyć a nie karać.

Inna rzecz, że przestępca, którego obrońca zdołał udowodnić, że czyn karygodny popełnił podsądny w chwili jakiegoś szału i który wobec tego osiągnął werdykt uniewiniający, w większości wypadków nie zostaje później leczony tak, jakby tego wymagały współczesne zapatrywania. Stąd właśnie wynika wewnętrzny dylemat wielu współczesnych wyroków sądowych. Ogólna opinja domaga się uznania przestępstwa za wypadek chorobliwy, ustawa jednak przewiduje kary, a miast lecznic... więzienia.

Wysuwa się ponadto na pierwszy plan kwestja, czy faktycznie medycyna, stająca w obronie zasad humanitarnych, zna już i umie wskazać skuteczne metody walki ze zbrodniczością, innemi słowy, czy umie „leczyć" przestępców. Zbrodniarz, opuszczający „lecznicę" sądową powinien być człowiekiem normalnym, pożytecznym dla państwa i narodu, nie zaś, jak to niestety często się zdarza, wyrzutkiem społeczeństwa.

Naogół niestety zadanie to przekracza jeszcze możliwości medycyny, choć nauka w tej dziedzinie pracuje wytrwale. Mamy już poważne dane, iż niebawem wielu przestępców będzie można „wyleczyć" nim jeszcze zdołają popełnić jakąś zbrodnię. By zaradzić nieszczęściu trzeba sprawić, by dobre porywy opanowały złe.

Jekże to jednak uczynić?

W średniowieczu, w starożytności, a może nawet już w prahistorji znano napoje miłości, które rozniecały żar ukochania w sercu zbyt zimnem; o napojach działających odwrotnie, czyli zmniejszających żar namiętności mało wiadomo. Czyżby medycyna współczesna starała się odkryć tajemnicę napojów miłosnych, jak również i ich odtrutek?

Odpowiednie doświadczenia zostały dokonane na zwierzętach z wynikiem wprost zdumiewającym. Aby Czytelnik zrozumiał te doświadczenia, muszę



Kogut, który przy zastosowaniu odpowiednio spreparowanych hormonów, spełnia rolę matki-kury.

nieco wyjaśnić rolę, jaką odgrywają u zwierząt i u ludzi gruczoły o wydzielaniu wewnętrznem.

Hermonami nazywamy tego rodzaju związki chemiczne, które wydzielane do krwi, wpływają na potencję pewnych narządów pobudzająco, względnie regulująco. Gruczoły zaś, wytwarzające hormony, nazywamy gruczołami o wydzielaniu wewnętrznem. Hurmony same działają w państwie komórek pobudzająco, pobudzają do działania organy w odpowiednim momencie, lub w odpowiednim okresie życia. Specjalny hormon pobudza organizm do rośnięcia, inny znów za pośrednictwem małych tętnic powoduje zmianę ciśnienia krwi. Każdy hormon ma swoje zadanie do spełnienia, przyczem nieraz zachodzi współdziałanie kilku rodzajów hormonów, względnie też niwelowanie wzajemnych wpływów, gdy mianowicie hormon pewnej grupy naruszył zbytnio równowagę sił cielesnych.

Można naogół odróżnić dwie grupy hormonów: hormony zwane seksualnemi, powodujące wzrost popędu płciowego, oraz grupę hormonów antiseksualnych, których działanie jest wprost przeciwne naturze działania pierwszych.

Włoski prof. Carlo Ceni wykazał, że od drugiej grupy hormów antiseksualnych zależy instynkt macierzyński i opiekuńczy. Podczas, gdy u samców przeważa działanie hormonów seksualnych, hormony drugiej grupy górują u samiczek. Sztucznie jednak można zapomocą specjalnego preparatu wywołać w normalnej równowadze działania hormonów pewne zmiany. Można naprzykład, wywołać u kogutów instynkt macierzyński drogą stałego karmienia ich ekstraktem z gruczołów antiseksualnych. Po kilku tygodniach kogut staje się mniej walecznym, rzadko pieje i od czasu do czasu zaczyna gdakać! Na widok zaś małych piskląt przygarnia je do siebie, chroni pod swojemi skrzydłami i wykonuje wszelkie obowiązki poważnej matrony-kury.

Doświadczenia Ceni'ego wykazują, jakim sposobem można wywołać poważne zmiany psychiczne u zwierząt na tle seksualnem. Jest więcej nie prawdopodobnem, że metoda Ceni'ego da się również niebawem zastosować do ludzi, u których popęd seksualny działa zbyt silnie. Należy w tym celu spreparować odpowiedni ekstrakt hormonów, a zagadnienie będzie rozwiązane.

Taki preparat łagodzący ludzkie namiętności byłby nieocenionym dobrodziejstwem. Możnaby go stosować u ludzi zbyt namiętnych, zapalczywych, nim dokonają swych krwawych czynów. Zmniejszyłaby się ilość ofiar okrutnych mordów, a w więzieniach nie żywionoby ludzi, którzy dzięki stosowaniu hormonowych preparatów staliby się jednostkami pożytecznemi.

Okropne czyny Haarmanna, Landru'a i innych potworów ludzkich nie niepokoiłyby już ludzkości, a „wyleczeni" przestępcy nie byliby straceni dla ludzkości.

F. B.



Nr. 125. „L. R". (Częstochowa).



Nr. 126. Izabella Kozłowska (Włocławek).



Nr. 127. „Maryla" (Kraków, fot. Janina).



Nr. 128. „Chochlik" (Warszawa).



Nr. 129. „Hanuś" (Warszawa).



Nr. 130. „Jasieńska T" (Warszawa).



Nr. 131. Jerzyk Bukowski (Warszawa).



Nr. 132. „Marzenie" (Lublin).

Wydawnictwo „7 DNI" oraz fabryka znakomitej czekolady „SUCHARD" ogłaszają

WIELKI KONKURS

„NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE"



Nr. 124. „Stełcia" (Włocławek).



Nr. 118. Zosia Zielińska (Warszawa, fot. Malarski)



Nr. 123. „Mirutek" (Warszawa).



Nr. 117. Zula Różańka (Warszawa, fot. Malarski)



Nr. 122. Anetka Helmanówna (Częstochowa).



Nr. 116. „Wichurek" Radość

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZEGO DZIECKA POLSKIEGO „7 DNI"
Kupon z Nr. 36-go.

WARUNKI

1) Fotografje konkursowe pięknych dzieci polskich w ilości nie większej nad dwa zdjęcia jednego dziecka nadsyłać winni rodzice lub opiekunowie pod adresem Wydawnictwa „7 DNI".

2) Format tych fotografij nie może być mniejszy niż 6 na 9 cm.

3) Każda fotografja winna zawierać na odwrocie wyraźnie wypisane: a) imię, nazwisko i datę urodzenia dziecka, b) nazwisko i dokładny adres rodziców, c) godło w razie nieujawnienia nazwiska dziecka.

4) Do każdej fotografji należy dołączyć: a) odpowiedni kupon, wycięty z „7 DNI", oraz b) etykietę (opakowanie papierowe) 100-gramowej tabliczki czekolady „SUCHARD" z jednego z następujących gatunków: „VELMA", „MILKA", „MILKA AMERE", „MILKA NUT", „ST. BERNARD", „JUBILEUSZOWA", „CAFOLA", „ORANGE", „VELNUT" lub „BITTRA", albo opakowanie 100-gramowej paczki kakao „SUCHARD".

5) Termin nadsyłania zgłoszeń wraz z fotografjami, kuponami „7 DNI" i opakowaniami „SUCHARD" upływa nieodwołalnie dnia 1-go października r. b. o godz. 24-ej (o północy).

6) Czytelnicy „7 DNI" sami, na podstawie umieszczonych w „7 DNIACH" fotografij wyróżnionych przez jury, wybiorą „Najpiękniejsze Dziecko Polskie", które otrzyma 1-ą nagrodę. Pozostałe nagrody rozdzielone zostaną stosownie do ilości głosów.

7) Jury kwalifikować będzie nadesłane fotografje do umieszczenia na łamach „7 DNI". Kontrolę nad plebiscytem Czytelników i rozdziałem nagród sprawować będzie notarjusz Mieczysław Różycki.

BEZPŁATNE ZDJĘCIA KONKURSOWE.

Następujące Zakłady Fotograficzne dokonują bezpłatnych zdjęć dzieci naszych Czytelników, biorących udział w konkursie „7 DNI": *Warszawa* — Jan Malarski, Chmielna 10; *Kraków* — Fot. „Janina", Starowiślna 21; *Lwów* — Zakł. Fot. „Grottgera", Akademicka 3; *Zakopane* — Fot. Schabenbeck, Krupówki; *Rabka* — Fot. „Janina"; *Iwonicz i Rymanów* — Zdrój — Fot. Grottger (ze Lwowa).

GOTÓWKĄ

10.000 ZŁ NAGRODY



SUCHARD-KAKAO
wzmacnia mięśnie i nerwy

SUCHARD-MILKA

SUCHARD-VELMA

NAGRODY

DLA MATEK NAJPIĘKNIEJSZYCH DZIECI:

1 *Nagroda: 3 000 złotych,*
2 *Nagroda: 1 000 złotych,*
3 *Nagroda: 750 złotych,*
4 *Nagroda:* Maszyna do szycia „Singera".
5 *Nagroda:* Aparat kinematograficzny Pathé Baby z kasetą, filmem i statywem,
6 *Nagroda:* Gramofon „Dancephon" z 5 płytami,
7 *Nagroda:* Mebelki dziecinne z „Komispolu",
8 *Nagroda:* Aparat fotograficzny „Kodak",
9 *Nagroda:* Piłka skórzana do napompowywania z „Komispolu",
10 *Nagroda:* Wieczne pióro „Platignum" z „Komispolu".
11, 12 *Nagroda:* Słuchawki „Polmet".

UWAGA: Nagrody pieniężne będą wypłacone w postaci książeczek oszczędnościowych P. K. O.

DLA CZYTELNIKÓW „7 DNI".

(Nagrody poniższe zostaną rozlosowane wśród wszystkich Czytelników *„Siedmiu Dni"*, którzy wezmą udział w plebiscycie drogą nadesłania głosu na dziecko, zasługujące ich zdaniem na 1-ą nagrodę).

1 *Nagroda: 2 000 złotych,*
2 *Nagroda:* Kompletny radjoaparat „Natavis" wartości 1 500 złotych,
3, 4 i 5 Nagrody: po 500 złotych,
6, 7 i 8 Nagrody: po 300 złotych,
9 *Nagroda:* Aparat kinematograficzny „Pathé Baby" z kasetą, filmem i statywem,
10 *Nagroda:* Aparat kinematograficzny „Kodak",
11 *Nagroda:* 150 złotych.
12, 13, 14 i 15 Nagrody: po 100 złotych,
16 do 24-ej *Nagrody:* wieczne pióra „Platignum" z „Komispolu".
25, 26, 27 i 28 *Nagrody:* piłki skórzane do napompowywania z „Komispolu".
29 *Nagroda:* Słuchawki „Polmet".

Wszystkim dzieciom, biorącym udział w tym konkursie, znana fabryka czekolady „SUCHARD" nadeśle w podarunku paczkę kakao „SUCHARD", oraz piękny wielobarwny balonik.



Nr. 119. Jagódka L. (Warszawa)



Nr. 120. „Krysia Ślązaczka" (Katowice).



Nr. 121. Ewelina Nowicka (Poznań).

Nr. 133. Lucyja Olewińska (Wilno).



Nr. 134. Danuta Polkowska (Poznań).



Nr. 135. Jacuś Karpiński (Biała Podlaska, fot. Malarski, Warszawa).

W następnym numerze podamy dziesiątą serję fotografij konkursowych.

STEFAN ESSMANOWSKI.

Hiszpańska miłość

Hiszpanja Filitów. — Ojczyzna don Juana Tenorio; kraina romantycznej przygody miłosnej. Pod jakim innem bowiem niebem kobiece serca bardziej zapalne? Jakiż inny język potrafi tchnąć większym żarem namiętności i słodyczą pieszczoty? Gdzież szukać *caballeros* w zdobywaniu płomienistszych, w miłowaniu stalszych, a przedewszystkiem o cześć niewieścią bardziej troskliwych?

Oto jak ich pod tym względem charakteryzuje Carlos Garcia, autor hiszpański z w. XVI-go na XVII-ty.

„Hiszpan, jak miłuje, to z całego serca, prawdziwie i wytrwale, aż nieraz granice godziwego uczucia przekracza, ubóstwiając to, co kocha. Wierność zaś cechuje go taka, że nawet myślą lęka sprzeniewierzyć się objektowi swej miłości. Wiary dochowuje niezłomnie i niema takowej mocy, która, choćby się nie wiem co zdarzyło, odwiodła go od raz oświadczonych intencyj. Całkiem inaczej Francuzi; chęć a intencja u nich tak chwiejne, tak wywrotne, tak zmienne, że jednej osobie ślubowawszy, ślubować będą stu tysiącom innym, jeśli się okazja zdarzy; a jeśliby kilku, czy klka — wiela tego nie będzie — od onej wady wolnych znalazło to afekt ich jest tak wątły, że starczy niechęć opinji, by cały jego ogień zmienił się w śnieg, więcej niż go zimą w Pirenejach leży. Francuz, zyskawszy względy wybranki, stara się przedewszystkiem przed przyjaciółmi i całym światem popisać swem uprzywilejowanym u niej stanowiskiem; Hiszpana podobne postępowanie razi w najwyższym stopniu, bo, gdy jemu los się uśmiechnie, dokłada wszelkich starań i zabiegów, by szczęście swe ukryć przed światem, przed przyjaciółmi, a nawet, gdyby to było możliwe, przed sobą samym".

Romantycy niemieccy, francuscy, angielscy chętnie czynią don Ramirów, Juanów, Diegów bohaterami historyj miłosnych, rozgrywających się wokół donji Inesy, Klary, czy Elwiry. Poco jednak brać z drugiej ręki? Sięgnijmy do współczesnych źródeł hiszpańskich i przenieśmy się myślą w ową epokę, do jakiejś starej *ciudad* iberyjskiej. A może poprosimy któregoś z poetów, by nam czasem w tej wędrówce zechciał usłużyć za przewodnika, Kalderona lub Feliksa Lope de Vega; o lepszego, jak ten ostatni, trudno. Nietylko w sztukach, których koło dwu tysięcy napisał, lecz i w jego życiu rojno od awantur miłosnych. Nielada to musiał być śmiałek, co w konsekwencjach swego stosunku z Heleną Osorio wygnany z Madrytu na lat dziesięć, wraca doń już po dwu miesiącach i porywa pannę Izabelę de Ampuero Urbina y Cortinas, dziewicę zacnej krwi, córkę don Diega, byłego gubernatora stolicy, a ówcześnie przełożonego heroldów królewskich.

Zapewniwszy tedy sobie tego, czy owego poety pomoc, nie zwlekajmy dłużej i przenieśmy się w hiszpańskie siedemnastowiecze.

We Flandrji niby spokój; pod perzyną stosów tli wprawdzie zarzewie buntu, lecz płomieniem narazie nie bucha. Waleczny *caballero*, co tysiąc razy ryzykował młode życie, broniąc króla i wiary, a rapier na brzeszczot w krwi heretyckiej ubroczył, wrócił do rodzinnego miasta.

Rapier syt walki w pochwie spoczywa i jeno od czasu do czasu brzęknie po kocich łbach bruku; brzęczą i srebrne, o ogromnych kolcach ostrogi, a *caballero* kroczy godnie i wyniośle, jak przystało na hidalga, w którego żyłach płynie błękitna krew wizygocka. Z pod płaszcza mignie złoty łańcuch, na nim

krzyż wojskowy,
który najpiękniejszym płonie
ogniem na rycerskiem łonie.

Miast swędu spalenizny, oparów krwi, gryzących dymów prochu *caballero* pełną piersią wdycha chłodzący aromat, który mu niesie wiatr z pobliskich ogrodów. *Naranjos en flor* — kwitną pomarańcze. Wolno z powagą i godnością kroczy *caballero*.

Na skręcie mignęła mu mantylla a z pod niej... *Valgame* Dios! jeśli podobnie cudne lica widział kiedykolwiek w swem życiu.

Aby sprostać im słowem, tobyście musieli
od świtu wziąć rumieńca, od gołębic bieli,
woni od róż syryjskich, blasku wprost od słońca,
czystości od srebrzystych promieni miesiąca.
A jeszcze barw i blasków tęczowe kaskady
wydałaby się przy niej mgłe podobnej bladej.

Caballero, co z pól flandryjskich całą salwował głowę, raz śmiertelny otrzymał. To skryty wśród gałęzi rozłożystej pinji bóg Amor wypuścił swój niechybny, w różanej rosie hartowany grot.

Caballero zbiera zmysły. Zjawa-li to, czy rzeczywistość? Gdzież się podziała? Jeszcze postukują na bruku wysokie, korkowe *chapines*. *Caballero* nie zwleka, gmatwaniną uliczek pośpiesza za nieznajomą. Wreszcie przystanęła. Na jeden moment spotkały się oczy obojga — szczęknęła furta, wiodąca z *patio* na ulicę; *caballero* pozostał sam. Wiatr niesie subtelny, chłodzący aromat pomarańczowego kwiecia...

Czatuje caballero dni następnych na piękną senjoritę, jak cień snuje się za nią, nie musi być jej niemiłą ta asysta. W przeciwnym razie, jak łatwo się jej pozbyć. Wystarczy zwrócić się do pierwszego lepszego spotkanego po drodze szlachcica. Hiszpan w obronie zgoła nieznajomej wnet dobędzie szpady i choćby własnym trupem, zagrodzi drogę niepożądanemu natrętowi. Tymczasem giermek *caballera* frant kuty na cztery nogi idzie w sukurs swemu panu. Pokojówka senjority ma serce dla spraw miłosnych wielce czułe, a całkiem jej już ono stopniało, gdy caballero w rączkę wraz z liścikiem złotego eskuda wsunął.



Szpada to często jedyna droga wiodąca do zdobycia serca dziewczyny hiszpańskiej.

Jakżeż słusznie przestrzegał jeden z hiszpańskich moralistów przed uczeniem dziewcząt sztuki pisania. Oby jej i nasza senjorita nie znała! Nie byłaby litością powodowana, na piśmie starała się biednemu szaleńcowi wyperswadować całą bezowocność jego zabiegów. Bilet z odpowiedzią powędrował do caballera może to samą, co jego list drogą, a może został złożony na umówionem miejscu, a może adresat, przebrany za żebraka, sam go otrzyma w bułce chleba, jak to się zdarzyło Feliksowi de Vega. A może kochankowie zechcą korespondować za pomocą kwiatów, z których każdy oznacza inną literę alfabetu, wedle początkowego dźwięku swej nazwy. W takim wonnym i barwnym liście można przesłać do dziewięciu linijek tekstu. Wielce to poetycki sposób korespondowania: lecz czy poecie a do tego hiszpańskiemu i zwłaszcza w wieku XVII-ym starczy dziewięciu wierszy do wypowiedzenia uczuć, rozsadzających serce?

By dać dowód nieustannej pamięci, urządza caballero wieczorem serenady; w nagrodę może ukochana ukaże mu na moment swą twarzyczkę z za okiennej kraty. A może słodką melodję przerwie okrzykiem: — Do broni! — zazdrosny rywal?... Pod miesięczną poświatę zalśni stal szpady, rozpierzchną się strwożone pacholęta, z gardła wydrze się zduszone przekleństwo, klinga o klingę szczęknie. — Jezus, Maria!

Z czyjejś dłoni wysunie się szpada, ktoś o mur się zatoczy, cień jakiś przemknie ulicą. A gdy po jakimś czasie *sereno*, nocny stróż ze swem: *Ave Maria purisima* ciągnąć będzie tą drogą, z przerażeniem potknie się o zwłoki. Na kałużę krzepnącej krwi wiatr miecie płatki pomarańczowego kwiecia...

Lecz nie kładźmy przedwcześnie tak tragicznego końca pięknie rozpoczętej powieści. Nie. — Wszystko idzie pomyślnie. Po serenadach następują rozmowy. Niestety, kochanków wciąż dzieli krata, sławna hiszpańska reja — aspera reja.

Straż trzyma twarda krata,
aż świt na niebie zagości,
by przed zuchwalstwem miłości strzec
ustrzec najkruchszej z cnót.

Lecz *omnia vincit amor*. Wciąż nowym, wciąż gorętszym zaklęciom jak ma się oprzeć *fragil virtud* — krucha cnota. Wreszcie on rzuca na szalę swój kawalerski parol, solennie ślubuje się ożenić. Honor szlachecki rzecz ważka, szalę dziewczęcych skrupułów ostatecznie przechyla.

Chyłkiem pod murem sunie caballero; szerokoskrzydły kapelusz silnie wbity na czoło, lewa ręka połę płaszcza ku górze unosi, by twarz skryć, oczy wlepione w okno; coś się w nim zabieliło — to umówiony znak. Już furtkę za sobą cabalero bezszelestnie przymyka.

„Casa con dos puertas mala es a guardar" — Trudna straż, gdzie dwoje drzwi powiada Kalderon, a cóż dopiero, gdy ich więcej. Jeśli zaś wierzyć temu poecie, to domy hiszpańskie posiadały pod dostatkiem tajnych przejść i skrytych drzwi. Ewentulnie balkon też nie był drogą do pogardzenia w razie braku innej mniej karkołomnej.

Już kochanków nie dzieli żaden mur ni krata, chyba jeden ten wstyd dziewiczy, ostatnia zapora, przeżerana ogniem namiętności, gnąca się pod szturmem zaklęć. Aż pewnej nocy...

Kiedy płomienne pragnienia
w zaciętej z cnotą potyczce
błagały, aby męczarniom
kres położyła nieznośnym...

wpada, pozostawiona na czatach pokojówka — Pan idzie! — *Ay de honor!* Biada! W ostatnim momencie udaje się z pomocą służebnej ukryć caballera w jakiejś szafie. Broni się męska duma, nie chce w ucieczce szukać ratunku, lecz wreszcie wzgląd na cześć ukochanej przeważa.

Zjawia się ojciec; przywiodły go tu jakieś podejrzane szmery. Senjorita jest zachwycona troskliwością najdroższego papy; zarzuca mu ręce na szyję tuli się serdecznie a tymczasem zdradzieckie rumieńce mają czas spełznąć z twarzyczki. Ojciec zadowala się mniej, lub więcej udatnym wykrętem córki i zabiera się do odejścia. Chwała Bogu! Niebezpieczeństwo minęło. Westchnienie ulgi podnosi pierś. Wtem albo trzaska jakaś deska w szafie, albo reportjerowy zegarek caballera — oby zczezł, kto pierwszy wynalazł zegarki! — poczyna wybijać godzinę.

Stary hidalgo się odwraca; zrozumiał wszystko. —*Ay de honor de la casa!* Jakaż hańba pada na dom! purpura krwi nabiega mu do czoła, pęcznieją żyły na karku, dłoń szpadę z pochwy wyrywa. Caballero nie czeka, aż drzwi szafy wywalą i w kącie między kieckami zadźgają sromotnie, stoi już gotów do walki. Szkoda słów tracić, gdy szpady dobyte; taką hańbę płaci się krwią. Ręka starca rychło sobie sztychy i parady przypomina; za króla nieboszczyka rębacz był z niego nielada. Węże szpad owijają się wokół siebie stalowemi skrętami. Drżąca, przerażona senjorita zbiera ostatek sił, rzuca się między walczących i osłabiona strasznem przejściem, mdleje wojcowskich ramionach. Walka się przerywa. Caballero pochyla szpadę i w dwornych słowach prosi przeciwnika o rękę córki. Stary hidalgo nie opiera się zbytnio i daje swe błogosławieństwo, a tu już giermek z pokojówką proszą państwa o pozwolenie na ślub.

Nie zawsze jednak tak dobrze się kończyło, a raczej z reguły kończyło się źle, gdy in flagranti przydybana została żona. Tutaj jedynem zadośćuczynieniem mogła być tylko śmierć i to śmierć obojga: wiarołomnej i gacha. Zazdrość hiszpańska i mściwość zdradzonych stały się przysłowiowe. „Wszędzie — pisze Porębowicz o dramatach Kalderona — to samo kapanie mężowskiego honoru najcenniejszą krwią, brutalność egoizmu, nieuznanie praw szlachectwa kobiety. Mencii otwierają żyły, Leonorę zakłuwają sztyletem, Serafinę zabijają z kochankiem kulą pistoletową. A co powiedzieć o Marjannie, która znajduje śmierć tyl-

(C. d. n. na str. 16.)

Rozrywki umysłowe

STUDJUM.

Dr. O. Blathy.



Białe zaczynają i wygrywają.

Białe: Kh3, Gd8, h1, pe3, e4, g5.
Czarne: Kf8, We8, Gg8, Sh8, pf7, g6, h5.

Podane powyżej fenomenalne studjum dra O. Blathy jest bardzo mało znane w literaturze szachowej i w Polsce nie było dotąd zdaje się drukowane. Głęboką ideę walki skoczka z wieżą wielki kompozytor węgierski ujął tutaj w formę bardzo interesującą.

MATCH O MISTRZOSTWO ŚWIATA.

Niezwykle ostry przebieg walki o mistrzostwo szachowe świata zadowolnił nawet najbardziej niecierpliwych i żądnych sensacji obserwatorów. Z ośmiu dotychczas granych partyj zaledwie dwie zakończyły się nierozegraną. Cztery partje wygrał Alechin, dwie zaś Bogolubow. Ciekawem jest również, że z tych sześciu partyj pięć wygrano białemi a jedną tylko czarnemi. Przedwczesnem byłoby wysnuwanie daleko idących wniosków na podstawie pół tuzina rozgrywek ale w każdym razie w tym matchu t. zw. „śmierć remizowa" nie zagraża szachom. Natomiast przewaga pierwszego posunięcia w rękach arcymistrzów zdaje się nabierać jeszcze większego niż dotąd znaczenia.

TURNIEJ W BUDAPESZCIE

zakończył się świetnem zwycięstwem Capablanki, który wygrał osiem partyj, remizując pięć. Drugą nagrodę zdobył arcymistrz Rubinstein (Polska) siedem wygranych, jedna przegrana, pięć remis. Trzeci dr. Tartakower (Polska) z ośmioma punktami. Następnie Thomas i Vajda po 7½ punktu. Dalej Havasi, Steiner i Colle. Przepiórka (Polska) nie zdobył nagrody i zajął miejsce dziewiąte (cztery wygrane, pięć przegranych, cztery remis). Obecnie odbywa się turniej w Jugosławji z udziałem Maroczego, Sämischa, Grünfelda, Przepiórki i innych.

STUDJUM.

z poprzedniego (35) N-ru.

Na g3 stoi pion biały zaś na g4 czarny, a nie odwrotnie. Wobec tego pozycja białych jest nasctępująca: Ka1, pd5, e4, g3. Czarne: Kg7, pd7, d6, g4. Białe zaczynają i czarne osiągają nierozegraną.

ROZWIĄZANIA

poprzednio umieszczonych studjów i zadań podamy w jednym z najbliższych Nrów.

ANAGRAMY.

Ul. M. Sławnicki.

Niema łąk, kto pije!
Dodaj biedaka żyto.
Gil i karpie nęcą świnie.

Litery w każdem z powyższych zdań przestawić tak, aby dały popularne przysłowie.

BILETY WIZYTOWE.

ułożyła Ira Słomin.

ROMAN OST.

IZA KAMINER.

IRKA ZYTOW.

ARTUR KOPRO

ROMAN ZIKI.

RUD. KĘZIN.

Z powyższych liter ułożyć zawód tych osób.

NAGRODY.

Za rozwiązanie anagramów oraz biletów wizytowych z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania 5 książek beletrystycznych. Termin nadsyłania rozwiązań do dnia 8 października.

ROZWIĄZANIE 2-CH BILETÓW WIZYTOWYCH Z N-RU 33.

Dyrektor piekarni mechanicznej.
Inspektor kontroli skarbowej.

Jak przewidywaliśmy tylko nieliczni czytelnicy rozwiązali te dwa bilety. Wynik losowania nagrody ogłosimy w następnym N-rze

---

ROZWIĄZANIE BILETÓW WIZYTOWYCH Z N-RU 34.

MASZYNISTA.
KOLEJARZ.
INSPEKTOR.
KOMISARZ.
LOTNIK.
MUZYKANT.
PIANISTA.
KAPELUSZNIK.
REDAKTOR.
ORGANISTA.

NAGRODY

za rozwiązanie biletów wizytowych z Nru 34 otrzymują w wyniku losowania p. p.: Helena Kaczorowska, Grodzisk Mazowiecki, Urząd Skarbowy; Krystyna Klimkiewiczówna, Zakłady Starachowickie, p. Wierzbnik, Stefańczyk Józef, Pabjanice, ul. Warszawska 6; Bolesław Korsak, Kraków, ul. Arjańska 9, I p.; Wilhelmina Kierepkowa, Trembowla, ul. Dmuchalcowa 62; Dobromira Lewandowska, Poznań, Chwaliszewo 69, II p.

HUMOR



„Bystander"

Gwoli poparcia esperanta.

Hiszpańska miłość

(Ciąg dalszy ze str. 14.)

ko na to, aby spełniła się przepowiednia, że umrze od mężowskiego puginału. Szekspir stworzył jednego Otella, u Kalderona niema postaci męskiej, któraby nie była gotowa stać się Otellem w danej chwili i to bez wyrzutów sumienia".

A to nietylko literatura, boć zresztą dramaturdzy hiszpańscy są wiernymi malarzami obyczajów swej epoki, i życie potwierdza objawy zazdrości doprowadzonej do skraju manji. Autentyczną historję z lat młodości zapisał w swej „Podróży po świecie" Ordones de Caballos. (cytujemy za Azorinem). Pewnego razu przechodząc ulicą podniósł wiązankę kwiatów, która wypadła jakiejś damie, stojącej na balkonie. Wystarczył ten fakt, by mąż polecił go zabić. Tylko dzięki przypadkowi udało się mu ujść zasadzek.

Zemsta niewiast nie była mniej groźna. Przypomnijmy sobie Klaudję z Don Kichota (cz. II roz. LX), która na pierwszą plotkę o zdradzie Wincentego dosiada w męskiem przebraniu konia, dopędza ukochanego i bez słowa wyrzutu ni usprawiedliwienia pakuje mu trzy kule. A owa dama, o której wspomina Orco plotkarskiego kuzyna wyprawiwszy na drugi świat drzwi domu ustroiła poprzybijanemi jego członkami.

Przyznać jednak trzeba, że powyższy obraz jest jednostronny; wyjątki istnieją zawsze i wszędzie.

Franciszek Santos (Azorin, jak wyżej) w „Gigantones" opowiada następującą historję.

Pewien mąż wróciwszy do domu i słysząc na piąterku, gdzie jego żona przyjmowała galanta, hałas, położył się mimo to najspokojniej do łóżka. Gdy połowica wróciła, spytał się ją o przyczynę hałasu. — „To głodny kot szukał czegoś do jedzenia" — wyłgała się gładko podwika. — „Niech go djabli porwą z takiem stukaniem" — zaklął małżonek i obrócił się na drugi bok.

Jeśli ten epizod nie jest pozbawiony humoru, o tyle smutnym jest fakt, że królowie hiszpańscy muszą wydawać specjalne ustawy przeciw mężom, ciągnącym zyski z wdzięków swych żon. A podobne wypadki nie należały do rzadkości.

Lecz gdy mówimy o miłości hiszpańskiej, to niech nam raczej zostanie w pamięci obraz kaballeros szlachetnych a zuchwałych, senjoritas jak marzenie złoconych balkonów, okratowanych okien, furtek w murze, niech nam dźwięczy kusząca, słodka melodja serenady, szczękną toletańskie klingi. Niech zostanie obraz miłości o jakiej mówi poeta.

Ona na wszystkiem w wszechświecie
Płomienny stygmat swój znaczy.
Bez powietrza można raczej
Żyć niż bez niej. Ona w kwiecie
Rozwija pąki i drzewu
W liść każe ubrać się świeży.
Ptaszęta uczy śpiewu;
W niej świat się cały przymierzy.
Rozsławcie moc, jej, rozgłoście!
Potrzykroć sława miłości!

(Kalderon)

Cytowane wiersze z wyjątkiem pierwszego w przekładzie autora. Cytat pierwszy z przekładów Porętowicza.

Pić albo nie pić oto jest pytanie??...

Wiele mówimy o Ameryce — złego i dobrego. Zwłaszcza ci, którzy tam nie byli lubią wypowiadać surowe sądy krytyczne. Wiele rzeczy tam im się nie podoba, zwłaszcza prohibicja. Tymczasem ta ośmieszana prohibicja, pomimo, że każdy może upić się tam, jak za dawnych „mokrych" czasów, — sprawiła wielką i korzystną przemianę: wzmogła wydajność pracy, powiększając zarobki, zmniejszyła znacznie przestępczość, rozwinęła przemysł rozrywkowy („przemysł wolnych godzin") podniosła kulturalnie szerokie masy robotnicze. Wódka oczywiście jest — ale jest droga i podła, a pijaństwo jest utrudnione, ograniczone, prześladowane. Znawcy tej sprawy twierdzą, że prohibicja udała się w 80 procentach.

Że dobrobyt szerokich mas w „suchej" Ameryce podniósł się znacznie — dzięki zmniejszeniu się niepomiernego pijaństwa za „mokrych" czasów — temu zaprzeczyć się nie da. Ze wzrostem dobrobytu robotnik jest w większości wypadków właścicielem domku pod miastem, ma swego Forda, posiada oszczędności, ma zabezpieczoną przyszłość — słowem nie jest parjasem, jak u nas. Przytoczę jedną tylko cyfrę statystyczną, ilustrującą jak wygląda przezorność w „suchej" Ameryce. Oto na ogół ludności Stanów Zjednoczonych 120 miljonów, 65 miljonów ludzi jest ubezpieczonych na życie. Suma polis wynosi 100 miljardów dolarów, co daje przeciętnie z górą 1500 dolarów na głowę. Nikt mnie nie przekona, że człowiek regularnie „zalewający robaka" jest zdolny do myśli o jutrze, że człowiek kieliszka hartuje się w ciężkiej walce o byt — alkoholem.

Nie zamierzamy propagować u nas, abstynencji, chodzi nam tylko o pewną wstrzemięźliwość, o jeden kieliszek mniej, a natomiast o oddanie zaoszczędzonych groszy, które miesięcznie uczynią złote — na zabezpieczenie jutra, na polisę asekuracyjną do P. K. O.

Najpierw, obywatelu, mężu i ojcze zabezpiecz w P. K. O. przyszłość rodziny, co miesiąc oddawaj pewną sumkę na składkę ubezpieczeniową, a potem, gdy poczujesz w kieszeni nadmiar pieniędzy i niepowstrzymany apetyt na kilka większych, mocnych — no to już pij! Na zdrowie!



P. Romanówna i Grabowski w Komedji „Koniec Pani Cheyney". (fot. Brzozowski).

Z Teatru Małego

W pierwszej swej sztuce, wystawionej w Warszawie „Kokoty z towarzystwa" Lonsdale wykazał niepospolitą swadę, wydatnie słabszą logikę i prymitywną znajomość form scenicznych. W komedji „Koniec Pani Cheyney" te cechy uwydatniły się w jeszcze znaczniejszym stopniu.

Trudno poprostu oprzeć się wrażeniu, że Lonsdale napisał libretto do operetki, zaś z braku odpowiedniej muzyki przerobił swoje dzieło na komedję. Zarys wszystkich postaci jest mocno karykaturalny. Z jednej strony widzimy grono osób z pośród arystokracji angielskiej. Przy bliższem rozejrzeniu okazuje się, że lordowie są oszustami, szulerami lub w najlepszym wypadku durniami.

Zdegenerowanym arystokratom autor przeciwstawia bandę oszustów, arystokratów de nomine, którzy w pojęciu p. Lonsdale'a dobrze czynią, szantażując owych arystokratów. Są to bardzo porządni ludzie, jedynie wskutek wadliwej organizacji ustroju społecznego stojący w kolizji z prawem.

Wolna od animozji autora jest jedynie para bohaterów. Ona — urocza przywódczyni bandytów i on — wyjątkowo uczciwy i niezdegenerowany lord. Od początku sztuki łatwo się domyślić, że pani Cheyney (jest to pseudonim bandytki) powróci na drogę uczciwości i poślubi lorda. Trudno sobie jednak wyobrazić bardziej naiwne i banalne rozwiązanie tego problematu.

Reżyser i aktorzy mieli niepospolicie trudne zadanie, pragnąc zatuszować wady nieudolnie napisanej sztuki. Najlepiej się w tem powiodło p. Romanównie. Czarująca artystka łączyła w sobie godność rasowej arystokratki z wdziękiem wyżej uszu zakochanej dziwicy. Grabowski robił młodego lorda znakomicie, jest to zresztą jego specjalność. Mierzejewski wniósł ze sobą na scenę pompatyczną sztywność — pozostałość po operetce, wkrótce to niewątpliwie ustąpi. Doskonale robił ramola p. Fritsche.

i. k.



Panna Jadwiga Karlewska, po długotrwałych sukcesach zagranicznych w balecie Diagielewa, powróciła obecnie do kraju.

Z życia pierwotnych ludzi Indji

Choć aeroplan i auto panują dziś powszechnie i dotarły już, zdawałoby się wszędzie, to jednak ileż istnieje jeszcze zakątków świata, za wyjątkiem chyba Europy, w których żyją ludy pierwotne, prawie nieznane i nie znające wcale zdobyczy cywilizacji, używające życia tak, jak owi jaskiniowcy z epok zamierzchłych.

I w Indjach wschodnich, zwłaszcza w niezależnych państewkach radżów hinduskich istnieją one. Typowym takim ludem są naprzykład — jak powiada korespondent londyńskiego „Timesa" — Korwowie z Czota Neypur.

Jest to dzika, nieokrzesana rasa, wierząca święcie, że powstała w następujący sposób: Dawno, bardzo dawno temu płaskowzgórze, na którem żyją dzisiaj Korwowie, zamieszkana była przez ludzi bogobojnych, narażonych wciąż na najścia dzikich zwierząt dżungli. Aby więc zabezpieczyć siebie i zbiory swoje od nieproszonych gości, poustawiali ludzie ci na granicy dżungli straszydła potworne, mające strzedz ich pola tak przed najściem ptactwa, jak i drapieżników czworonożnych. Wówczas bogowie, litując się nad ludźmi, walczącymi tak zawzięcie z puszczą, tchnęli życie w owe potwory i w ten sposób powstał lud Korwów, wciąż walczący z dżunglą.

Jedynym jego sposobem uprawy roli, jest ścinanie i wypalanie całych połaci puszczy i sianie w popiele, śród pni nadpalonych, ryżu i prosa. Hodują też Korwowie bydło i strzedz go muszą pilnie przed tygrysami i panterami. Wobec tego każdy z nich jest myśliwym zręcznym i odważnym. Uzbrojeni w łuki i strzały zatrute, które noszą utkwione w swe włosy długie, opadające na plecy lub związane w węzeł, małego wzrostu i zwinni, prześlizgują się śród krzewów i ljan dżungli, a strzelają z łuku tak celnie, że prawie żaden ich strzał nie chybia.

Gdy za bardzo dokuczy im tygrys ludojad, wówczas urządzają na niego nagankę. Najcelniejsi łucznicy, usadawiają się na drzewach, reszta zaś plemienia napędza na nich tygrysa. Ale tygrys wyskoczy z dżungli tylko wówczas, gdy się czego przestraszy. Przed krzykiem zaś naganiaczów, ustępuje zwolna, trzymając się zawsze cienia lub prześlizgując się wśród traw wysokich bez szelestu i tak nieznacznie, że wywołuje zaledwie dostrzegalne chwianie się łodyg, jak pod wpływem leciutkiego podmuchu wiatru. A sprzymierzeńcami jego są żółte promienie słońca i ciemne cienie traw, z któremi zlewa się jego ciało pręgowane. Trudny to więc cel dla nagiego łucznika, uczepionego nogami gałęzi drzewa i trzymającego w rękach łuk napięty. Nie mniej polowanie takie udaje się zazwyczaj.

Od Korwów różnią się wielce ich niemal sąsiedzi, Gondowie. Gdy Korwa jest poważny, podejrzliwy i trzyma się zawsze w postawie obronnej, Gond — odznacza się usposobieniem towarzyskiem i wesołem. Przepada za napojami upajającemi, gdyż wprowadzają w dobry humor, to też, gdy pewien myśliwy europejski ofiarował towarzyszącemu sobie Gondowi butelkę piwa i spytał, jak mu smakowało, Gond odparł z żalem: „Cóż, kiedy się nie upiłem od niego".

Odpowiednio też do swego usposobienia, Gondowie posiadają bardziej pokojową, niż Korwowie, legendę o swem pochodzeniu. Stwórcą ich miał być Mahadeo (Wielki Bóg), prorok zaś — święty Lingo miał ich uczyć, aby raczej uprawiali rolę i utrzymywali stosunki handlowe z sąsiadami, niż zajmowali się myślistwem. Ów Lingo lubił, aby go huśtano, był więc to huśtany, to karmiony przez swe żony i sługi.

Nieraz, w pobliżu wiosek Gondów spotyka się kapliczki z wyciosanemi zgruba posążkami koni. Są to bóstwa, strzegące Gondów przed tygrysami. Ale bóstwo nudzi się w swej kapliczce. Trzeba je tedy zabawić. A jakaż rozrywka może mu być milsza, jeżeli nie ta, której używał Lingo? Huśtają więc owe bóstwa na huśtawce, uczepionej do pułapu kapliczki, co ma im także „dobrze robić na żołądek", a następnie składając im w ofierze ziarno, kwiaty i mleko.

Pomimo jednak swej łagodności, Gondowie są bardzo odważni. Wielu z nich nie cofa się przed tygrysem, o ile nie jest raniony. Znany jest wypadek, że Gondowie, użyci za naganiaczów, odpędzali rozgniewaną tygrysicę od tygrysiąt i nagnali ją na linję myśliwych.

Pewien pastuszek z ludu Gondów, pasący bydło wioskowe, ujrzał przerażony ogromnego tygrysa, wypadającego z gąszczu i porywającego jedną z krów. Nie było to znów nic nadzwyczajnego, ale krowa napadnięta, jako przodowniczka stada, miała zawieszony na szyi, na rzemieniu, wielki dzwonek blaszany. A dla biednego Gonda, dzwonek taki, to rzecz cenna, kosztuje bowiem coś pół rupji (około 1 zł. 30 gr.), pastuszek więc rzuca się za wlokącym swój łup tygrysem, krzykiem i uderzeniami kija odpędza potwora, a zdjąwszy z szyi zabitej krowy rzemień z dzwonkiem, ucieka do wioski, uradowany, że uniknął dotkliwej może kary, któraby go nie minęła, gdyby utracił dzwonek.

S. B.

Z teki karykaturzysty

NA MARGINESIE MIĘDZYNARODOWEGO KONGRESU TURYSTYCZNEGO W POLSCE.

Hirajama (Japonja)

Dr. E. Pstross (Czechosłowacja)

Van Deventer (Holandja)

DAWID FRYDMAN.

Mendel Maranc

Przełożył z ros. Mieczysław Birnbaum.

Humoreska pióra Dawida Frydmana, której początek zamieszczamy w niniejszym numerze należy do cyklu obrazującego życie emigracji żydowskiej w Stanach Zjednoczonych. Opowiadania o Mendlu Marancu, wydane w oryginale w języku angielskim, zostały następnie przetłómaczone na język rosyjski i cieszą się ogromnem — a zasłużonem — powodzeniem.

I.

— Co to jest gospodarz — co? Nudziarz! Co on wie? Brać komorne — więcej nic! Co to jest komorne? Kara, jaką płacimy za swoją biedę. Co to jest bieda? Brud na wierzchu. A co to jest bogactwo? Więcej brudu — pod spodem. Wszyscy potrzebują pieniędzy. Pieniądze!... Co to jest pieniądz? Choroba, którą każdy chciałby się zarazić, ale nie udzielać innym. Nie bój się, Zeldo! Przyjdzie czas jeszcze i na nas. Będę jeszcze właścicielem domu na ulicy Riverside Drive*). Zobaczysz, będziemy jeszcze mieli własny dom...

— Na cmentarzu! — wtrąciła znękana Zelda.

— Nie odrazu, nie odrazu, — odpowiedział Mendel, popijając herbatę. — Nie rozpaczaj, Zeldo. Co to jest pesymizm? Zapałka. Parzy palce. A co to jest nadzieja? Świeca. Bo oświetla drogę. Nigdy nie można nic zgóry przewidzieć. Bo co to jest życie? Huśtawka. Dziś jestem biedny, a jutro...

— Jutro zdechniesz z głodu! — mruknęła z wściekłością Zelda, mszcząc się na koszuli, którą właśnie prała.

Naraz cisnęła w kąt koszulę, wytarła ręce i ująwszy się pod boki, odwróciła się do Mendla.

— Chciałbyś żebym ja ciągle milczała? Mam przy tem korycie stać, jak bałwan, od rana do nocy; pracować, jak koń; gotować, prać szyć, cerować, sprzątać. I za jakie to grzechy? Czy po to uciekłam z tobą z domu bogatego ojca? Powiedzno, czyś ty się ze mną ożenił, czy wziąłeś mnie za służącą?

— Ja cię ukradłem. A teraz płacę za to. Bo co to jest miłość? Zwycięstwo. A co to jest małżeństwo. Próba. Nie bój się, ojciec twój nie jest taki głupi, jak wygląda. Udawał, że wcale nas nie widzi, jak my się szykujemy do ucieczki. Myśmy się zakochali, a jemu to się opłaciło. Tanio się wykręcił. Co to jest kochanie? Bańka mydlana. Przyjemnie jest na nią patrzeć, ale prędko pęka.

— Dosyć, dosyć mi! Poznać pana po cholewach, panie Mendel Maranc. Już mi oczu nie zamydlisz. Ubrdałeś sobie, żeś wielki pan i nie musisz pracować. Sara w pocie czoła pracuje w fabryce, Chima sprzedaje na ulicy gazety, Natan biega z depeszami. A ty co robisz? Siedzisz sobie, jak jaki król, popijasz herbatkę, dowcipkujesz i nic cię więcej nie obchodzi. Pewnie czekasz, aż wyrośnie Dżekki, Lenka i Semmi, żeby i ich do fabryki posłać.

Mendel wzruszył ramionami.

— Co to jest język kobiety? Psi ogonek. Ciągle nim miele.

— Ja wiem, co mówię. Praca to dla ciebie śmierć. Lubisz sobie siedzieć z zamkniętemi oczami, z papierosem w pysku i kombinować, w jaki sposób się wzbogacić. Ale napewno przedtem zwarjujesz.

— Zeldo, tyś się już zestarzała. I nic nie rozumiesz. Mnie potrzebna jest tylko kropelka szczęścia, a ta kropelka ubarwi ocean naszej nędzy. Niech tylko wyjdzie coś z jednego wynalazku mojego, a zobaczysz — nikt z nas nie będzie więcej potrzebował pracować. Sara otrzyma posag. A co to jest posag? Zapłata za męża. Przeprowadzimy się do innego mieszkania. Dosyć już gnieżdżenia się na tym rybnym rynku. Bo co to jest powodzenie w życiu? Piąta Avenue*). A co to jest niepowodzenie? Piąte piętro! Czekaj, Zeldo, ja zostanę jeszcze sławnym wynalazcą i jeszcze się wzbogacimy. Zobaczysz!...

— A kto będzie nam do tego czasu dawał na chleb? Mendel, popamiętaj sobie lepiej, co ja ci mówię. Wybij sobie z głowy te głupstwa.

— Samaś — głupstwo! I ty i twoi krewni!...

— Wy wszyscy myślicie, że ja mam tutaj wodę, — dodał, wskazując na głowę swoją. Nie, moja droga. Mam tu najprawdziwszy mózg. Tu mam wielkie myśli, plany, maszyny. Mózg mój bezustannie pracuje, robi plany, wynalazki. Nie mogę przez to spać, jeść nie mogę, pracować. A ty ciągle w kółko — wybij sobie z głowy! Oj, Zeldo, Zeldo!

Mendel zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

— Wiem dobrze, że wy mi wszyscy zazdrościcie. Twój brat, Moryc, ma fabrykę obuwia, a drugi brat — biuro, siostra twoja Dora wyszła za bogacza. Ale nikt z nich niema mózgu. I dlatego mi zazdroszczą.

Zelda milczała, gryząc nerwowo wargi. Od wielu już lat słyszy od Mendla te same słowa, to samo przechwalanie się rozumem, w rezultacie jednak coraz więcej musi sama pracować w domu, a dzieci — w fabryce.

Mendel Maranc mózg, rozumie się, ma, napewno ma. Bo i jak-że mógłby inaczej żyć, nie pracując? On ją zawsze pobija elokwencją swoją i zawsze ją zagaduje. Za każdym razem udaje mu się zarazić ją własnemi rojeniami a w rezultacie — ona znowu zabiera się cierpliwie do roboty, a on w dalszym ciągu marzy. Tak było wówczas, kiedy mieli sklepik z cukierkami; tak samo wtedy, kiedy mieli kramik z jarzynami, który zamienił potem na wózek, tak pozostało i dzisiaj, kiedy nic już nie mają.

Mendel Maranc — filozof (Fot. Paramount)

Z zawodu mechanik, z powołania wynalazca, a z natury — marzyciel, Mendel gardził wszelką stałą pracą. W ciągu krótkiego czasu zajmował dziesiątki posad — od agenta ubezpieczeniowego do nocnego stróża — i zrobił conajmniej ze sto różnych wynalazków, które miały uszczęśliwić ludzkość. Niestety, jednak ani jeden z nich nie został należycie oceniony, a już w najmniejszym stopniu, oczywista, przez Zeldę. Mimo wszystko nie miał zamiaru brać się do roboty, a ciągle robił wynalazki.

Wierzył naprawdę w swoje zdolności. I w tem tkwiła jego tragedja. Wszyscy genjusze są głęboko przekonani o swej wielkości. Rownie przekonani są o tem wszyscy manjacy. A Zelda żadną miarą nie mogła zdecydować, do jakiej kategorji należy jej Mendel.

O jednej tylko rzeczy mocno była przekonana, mianowicie, że rodzinie ich grozi katastrofa. Mendel może sobie to lekceważyć, ale ona się na tem lepiej zna. Nieraz już widziała, jak rujnowali się sąsiedzi, i jak rozlatywały się rodziny. Znała wielu mężczyzn, którzy, podobnie jak i Mendel, zaczynali od niewielkich mrzonek i nieziszczalnych nadziei, a kończyło się na tem, że zostawali szulerami, rozpijali się, a nawet jeszcze gorzej.

— Pamiętasz — mawiała — co się stało z Reznikiem. Codzień miał inny plan, jak zostać miljonerem, a żona, pracując w fabryce, dostała suchot. Wreszcie umarła, dzieci zabrali do przytułku, a on ciągle jeszcze marzył o miljonach. Wynajął stragan na rynku, zaczął handlować kawą i stracił wszystko do jednego centa. Zaczął wtedy wydawać wszystkim czeki z podpisem „Rockefeller", aż go umieścili w „Bellevue"**).

A Ditenfas, a Karniol? Czy oni nie byli podobni do ciebie, jak dwie krople wody? Jednemu żona z rozpaczy oczy wypaliła, a drugi mądrzył się, mądrzył — a teraz siedzi w kryminale.

Największa mądrość — to praca. Praca ludzi wzbogaca. Pracą dojdziesz do wszystkiego. A nie wynalazkami!...

Zelda doskonale wiedziała, co się w takich ra-

*) Dzielnica arystokratyczna w Nowym Jorku.

**) Kolonja dla umysłowo chorych.

zach dzieje. Raczejby o tem nigdy pojęcia nie miała!

— Wymyśliłbyś lepiej coś takiego, coby cię zmusiło do pracy, — radziła mu Zelda. Inny z takim rozumem zrobiłby już majątek, a tybyś choć na chleb powszedni zarabiał.

— Rozum jest dla myśli — odpowiedział Mendel — a pieniądze mogą zarabiać durnie. Dlatego to krewni twoi są bogaczami.

— On znowu swoje, — ze znużeniem odpowiadała Zelda, czując, że ją znowu chce zagadać. — Co ty masz ze swego dowcipkowania? Ty tylko dowcipkujesz i nędzę klepiesz; szczęście jeszcze, że Sara pracuje. Żeby nie to, dawnoby nas wyrzucili na bruk.

A biedna Sara była coraz bledsza i zdradzała ogromne zmęczenie.

Weszła któregoś dnia niespodziewanie, rzuciła kapelusz na kozetkę, bezsilnie opadając na krzesło.

Zelda tak się zdumiała, że nie mogła wypowiedzieć ani słowa. Nie spodziewała się Sary przed godziną szóstą. A teraz było dopiero pół do drugiej. Okropna myśl przyszła jej do głowy.

Sara siedziała z opuszczonemi oczami. W pokoju zapanowało przykre milczenie. Po chwili Sara usiłowała coś powiedzieć. Ale język odmawiał posłuszeństwa. Zelda zrozumiała ją bez słów.

— Fabryka stanęła. Pracownikom wymówiono...

Stało się to, czego się najwięcej bała. Rodzina Maranca znalazła się teraz nad przepaścią. Troska o jutro przygnębiła ostatecznie Zeldę. Sara siedziała z opartą na dłoniach głową, wpatrzona roztargnionym wzrokiem w przestrzeń. Mendel nawet przestał palić papierosa... żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Mimo to czworo oczu kobiecych przeniosło na niego spojrzenie.

Zelda zaczęła pierwsza.

— Dłużej już tego nie ścierpię. Albo jutro idziesz do pracy, albo wynosisz się od nas wogóle, panie Mendel Maranc!

Nie było to dla Mendla nowiną. Takie kryzysy miały już nieraz miejsce. Czasami wymigiwał się dowcipem, czasem — jakiemś przyrzeczeniem, ostatecznie udawał, że pracuje, aż w domu znowu się uspakajało. Tym razem jednak wyraz twarzy Zeldy nic dobrego nie wróżył. Widział już, że uratować go może już tylko praca, ale będzie ona dla niego równocześnie zgubą.

Zmusić go do stałej pracy — byłoby to samo, co zaprządz lwa do fury. Umysł jego nie zwykł chadzać utartemi drogami. Do jakiejkolwiek pracy by się brał, musiał zawsze myśleć o maszynie, którąby za niego pracę tę wykonywała!

Głowę miał zawsze pełną nowych myśli, umysł pochłaniał całą jego energję. Żeby wziąć się do pracy, musiałby przestać myśleć. A to było dla niego równoznaczne z zaprzestaniem oddychania. Próżnowanie było tak organicznie z nim związane, jak pracowitość — z Zeldą.

— Ja nie nadaję się do pracy, — odezwał się wreszcie, — to jest — do zwykłej pracy. — Jedni pracują rękami, inni — nogami. Ja pracuję głową. A ty, widać, chcesz, żebym pracował, jak szewc Simon, który całemi dniami wbija do obcasów gwoździe, aż wbije sobie gwóźdź do własnej trumny. Raz, dwa, trzy — i już mam gotową maszynę, która wbija gwoździe, tnie skórę, przymocowuje obcasy, nakłada łaty. A wtedy siedzę i kpię sobie z całego świata. Nie potrafię pracować, tak, jak inni, a inni nie potrafią pracować tak, jak ja.

— Znowu chcesz mi dowieść, że co czarne to białe, i że co dzień — to noc. Ale to ci się już nie uda. Od teraz w domu naszym będzie taki porządek: kto pracuje — ten je, kto nie pracuje — ten nie je. Jeżeli możesz wymyśleć, w jaki sposób zdobyć sobie chleb — to twoje szczęście. Ale ja nie dopuszczę do tego, żeby moje dzieci cierpiały głód. Od dnia dzisiejszego ja będę ojcem rodziny, głową domu. Jeżeli ty nie chcesz pracować, ja sobie pracę znajdę.

Mendel nie wierzył.

— Co to jest kobieta? — myślał sobie. — Duża chmura — mały deszcz.

Aż tu spadła na głowę taka ulewa, jakiej się w żadnym razie nie spodziewał.

— Jutro idę do pracy, do szwalni. Pójdziesz, Saro, ze mną. Nauczę cię prawdziwego fachu.

Obróciwszy się do Mendla, rzuciła z ironją:

— Uważasz, że moja praca w domu — to zabawa. Zgoda! Teraz ty będziesz siedzieć w domu i tak się bawić, jak ja się bawiłam. Jesteś głodny? Przyrządź sobie jedzenie. Myślisz, że praca w gospodarstwie — to głupstwo. Przekonasz się. Trzeba wyprawić dzieci do szkoły, wleźć na strych — rozwiesić bieliznę, zejść z czwartego piętra z wiadrem pomyj, pójść do sklepu po wiktuały, wyprać bieliznę, zacerować skarpetki, prasować, wyszorować podłogę, sprzątnąć w mieszkaniu.. Więc dobrze! Teraz ty będziesz mieć te rozrywki, będziesz się bawił ,a ja będę pracowała na chleb.

Mendel wiedział, że Zelda dawno już nosi „łamilijne spodnie", ale nie myślał, że sam będzie nosił za nią spódnicę. Nigdy nie przypuszczał, że w mieszkaniu tem, tuż obok niego jest tyle pracy, która może spaść na jego kark. Inna rzecz, że i tak jej wykonywać nie będzie. A jednak...

— Co to jest kobieta? — rozmyślał dalej. — Piorun z jasnego nieba. Przyjemnie jest nań patrzeć, aż w nas nie uderzy.

Nazajutrz Mendel dowiedział się namacalnie, co to jest perpetuum mobile. Mieszkanie opanowały dzieci. Raz po raz musiał się uchylać od fruwających po pokoju poduszek, przeskakiwać przez przewrócone krzesła, poślizgiwać się na powyrzucanych z wiadra do pomyj tłustych ogryzkach. W kawie jego okazała się sól, siadając, nadział się na coś ostrego. Zmuszony był przeskakiwać z miejsca na miejsce, żeby się chronić od fruwających na wszystkie strony przedmiotów i napataczał się na inne przedmioty. Nie chciał mieć nic do czynienia z gospodarstwem, ale za to gospodarstwo miało z nim do czynienia.

Dzieci wyobrażły sobie widocznie odrazu, że wraz z matką zanikło wszelkie prawo i ład. A Mendel w żaden sposób nie mógł wpoić w nie innego przekonania. Dać w skórę Lenie, potem Dżekki, potem Semmi i tak po kolei — wydało mu się okropnie nudnem zajęciem. Lepiej byłoby wyprawić je do szkoły. Ba, ale przedtem trzeba je umyć, ubrać, nakarmić.

Już złapał był kapelusz i chciał uciec na ulicę. Ale co będzie robił na ulicy?

Mendel rozmyślił się, zgrzytnął zębami i zabrał się do roboty. Myjąc Dżekki, tak mocno natarł mu twarz mydłem, że poczerwieniała jak burak.

— Co to jest żona? — mruczał. — Teleskop! Pomaga ci oglądać wszystkie gwiazdy.

— Semmi, nigdy w życiu się nie żeń! — zwrócił się do chłopca.

— Co to jest ożenek? Najpierw obrączka na palcu, potem — na szyi. Leno, przestań targać Dżekki za włosy. Wykapana matka. Co ty robisz, Semmi? Obrus — to nie chustka do nosa! Och, małe dzieci — małe kłopoty, duże dzieci — duże kłopoty. Co to są dzieci? Ubezpieczenie na życie. Kiedyś za wszystko się odwdzięczą, — jak już człek będzie w grobie. A jednak je się kocha. Takie to już życie. Wie się, że jest ciężkie, a jednak człowiek go się czepia. Czem jest w rezultacie życie? Podróżą. Co to jest śmierć? Celem. Czem jest mężczyzna? Pasażerem. Czem jest kobieta? Bagażem... Dżekki, nieznośny łobuzie! Nie płacz, Leno. To niechcący. Masz jabłko. Idźcie już do szkoły. Semmi, nie wolno zjeżdżać po poręczach. Uważajcie, bo na schodach brak w jednem miejscu stopnia. Kto znów płacze? Dżekki, oddaj jej z powrotem jabłko. O, Boże, wszystkie siły straciłem!

Mendel, zmęczony, zziajany opadł na krzesło.

— Czyż nie zacząłem pracować? — pomyślał zdumiony. Jeżeli ta kdalej pójdzie, nie wytrzymam.

Ale to był dopiero początek cierpień Mendla Maranca. Rola kobiety i kobieca praca, bynajmniej mu się nie uśmiechały. W mieszkaniu był taki nieład, jak w czasie przeprowadzki. Łóżka były poprzewracane, na stole i na podłodze leżały resztki jedzenia, kredens był otwarty, naczynia powrzócane na kupę do muszki, umywalki kuchennej, wszystko było brudne, zakurzone. Słowem, w mieszkaniu panował kompletny bezład. Odczuwał się we wszystkiem brak magicznej ręki gospodyni. *(D. c. n.)*

Moda jesienią

Warszawa w ciągu lipca i sierpnia, pusta jak wymiótł, przez pierwsze tygodnie wrześniowe zaludniła się odrazu, nawet przeludniła. Odrazu zrobiło się ciasno w tramwaju i na ulicy, a już najciaśniej chyba w kawiarni, oczywiście modnej kawiarni. Zdobycie stolika jest taką samą kwestją szczęścia jak wygrana na loterji. A przy stoliku: bezładne opowiadania o lecie i horoskopy na zimę, pytania: co się zmieniło i co pozostało na miejscu. — Iksowie i Zetowie rozchodzą się naturalnie, a Igrekowie, wyobraź sobie! dotąd — nie. Dziwni ludzie! — Wreszcie modne konferencje i debaty, bo przecież sezon w progu, wielki sezon jesiennozimowy 1929 — 1930. Okres wizyt, posiedzeń, dancingów, słowem życia towarzyskiego już, już się rozpoczyna, toalety letnie z małymi wyjątkami zdadzą się na szmelc. Potrzebne jest wszystko naraz: suknie, buty, okrycia, kapelusze... Od czego zacząć? Co tu począć?

— Sprawa okrycia zimowego nie jest jeszcze sprawą, postawioną na ostrzu noża, — twierdzi praktyczna pani Lola. Kostjum i płaszczyk demisaison mogą nam jeszcze z powodzeniem służyć przez czas dłuższy. Zresztą i zeszłoroczne okrycie zimowo wymaga zapewne tylko nieznacznego odświeżenia i przesłuży jeszcze nie jedną, a pare zim. Futra nie wychodzą prędko z mody, na szczęście.

— Baj baju, — przerywa niecierpliwie pani Lola, w roku zeszłym królowała linja prosta, a teraz mamy wciętą. W sezonie ubiegłym były kryte fałdy, teraz wszędzie panoszy się klosz. Suknie są dłuższe, stan jest krótszy — słowem wszytko inne. Nawet kobiety powinny być inne, bo w zeszłym roku modna była figura wszędzie płaska i równa, a obecnie wymagany jest niewielki, lecz wyraźnie zaznaczony biust, talia jak u osy i biodra jak grecka amfora. Nawet brwi nosi się szersze niż w sezonie ubiegłym... A ty się niczem nie przejmujesz i prawisz o odświeżaniu starej garderoby...

— Bo grunt się nie przejmować — powiada sentencjonalnie pani Lila. Brwi to sprawa mojej kosmetyczki, ja się tem martwić nie myślę. Biust zrobi krawcowa w porozumieniu z gorseciarką, talię osiągnę zapomocą djety, a biodra też się jakoś skombinuje. Klosze bywały już nieraz, ale nigdy nie udało im się, na całej linji, zwalczyć linji prostej. Sądzę, że się ułożą, tak jak filc i aksamit na kapeluszach.

— Ale, ale, — gorączkuje się pani Lola, — a propos aksamitów, podobno mają być modne



Skromny płaszczyk z angielskiego tweed'u. Oryginalny krój pleców i kołnierza.

tylko i wyłącznie aksamity. Aksamitne garsonki, kostjumy, okrycia, suknie popołudniowe, wieczorowe i.... szlafroki. I co my poczniemy z całą zeszłoroczną garderobą? Żorżety i crepe satin? To przecie ruina!

— Nie przesadzaj, kochanie, — uspakaja poczciwie pani Lala, — będą modne aksamity, ale przecież nie wyłącznie. Crepe satin jest modniejszy niż kiedykolwiek, zwłaszcza crepe satin imprime. Wogóle tkaniny wzorzyste nie przestały być modne tej zimy, wszystke desenie żorżety, muśliny crepe de chine'y, których nie zdążyłaś podrzeć w lecie możesz donosić obecnie, obok deseniowych aksamitów. A poczciwa żorżeta chyba nigdy już nie wyjdzie z mody; stała się materjałem niemal tak klasycznym, jak granatowa wełna na kostjumy tailleur.

— A właśnie, podobno żakiety przy kostjumach tailleur są znacznie dłuższe?

— Owszem, są i takie. Najmodniejsze są żakiety trois quarts, cokolwiek nie dochodzące kolan. Kolory marengo i czarny. Ale nie znaczy to bynajmniej, by krótkie żakieciki granatowe i popielate miały się odrazu znaleźć na indeksie. Zresztą modne są wszystkie odcienie jesienne brunatne, rdzawe, złociste i płowe, kolor zgniło zielony i ciemno czerwony, tylko cytrynowo-żółtego tak faworyzowanego w lecie, zaczynamy mieć stanowczo dość. Na okrycia i kostjumy używa się angielskich tweed'ów lub ich doskonałych bielskich imitacyj.

— Więc ostatecznie co sobie sprawić, co kupić przedewszystkiem?

— Przedewszystkiem, kup sobie, kochanie, nowy kapelusz. Nic tak nie zmienia charakteru sylwetki. Nowy kapelusz, nie za mały, bo ci w nim nie będzie do twarzy i nie za duży, bo by wypowiedział wojnę puszystym kołnierzom okrycia, a nawet z lisem noszonym przy kostjumie mógłby się popstrykać. Niech będzie z jedwabistej pilśni (taupe) połączonej z gładkim, cienkim filcem. Żadnych przybrań, tylko wygięcie ronda i uprasowanie główki musi nosić niezawodne piętno natchnionych rąk pierwszorzędnej modystki. Na tem nie wolno oszczędzać: — du sublime au ridicule il n'y a qu un pas — mawiał któryś z wielkich ludzi, który widać rozumiał jak ogromna przepaść dzieli filc fabryczny od odrzecznie upiętego fasonu.

Trzy zgodne westchnienia wznoszą modnie zaokrąglone biusty. Trzy prześlicznie zaondulowane i doskonale ukapeluszone główki pochylają się ku sobie coraz bliżej. Narada trwa. Daremnie niecierpliwi się kelner i stali bywalcy kawiarniani oddawna czekający na stolik.

Well.

Film świata niewidzialnego

Badacz francuski, J. Lefevre, zademonstrował w tych dniach w paryskim Instytucie optycznym, przed gronem zaproszonych gości ze świata naukowego, film niezwykły, gdyż uwidoczniający walkę zażartą o byt w świecie niewidzialnym dla oka nieuzbrojonego.

Wprawdzie już przed laty trzydziestu, gdy kinematografja była jeszcze dziecięciem świeżo narodzonem, bystry umysł fizyka Mareya przewidział możliwości połączenia aparatu kinematograficznego z mikroskopem i utrwalenia w ten sposób na taśmie filmowej obrazków ruchomych, z życia tego świata lilipuciego istot najdrobniejszych, które poruszają się w kropli wody lub w odrobinie pyłu. Dopiero jednak obecnie Lefevre urzeczywistnił genjalnie ten pomysł Mareya, wyzyskawszy w tym celu najnowsze zdobycze wiedzy.

W przyrządzie Lefevre'a współdziałają soczewki mikroskopu, powiększającego o cztery tysiące razy przedmiot badany, filmy świetlne i maleńkie lampki elektryczne, aby oświetlić świat istot nieskończenie małych i utorować mu drogę na taśmę fotograficzną.

I oto przed oczami widzów przesuwają się dramaty tak wstrząsające, jak w życiu ludzkiem, a jednak rozgrywające się w setnej zaledwie cząstce kropli wody!

Widzimy walkę bohaterską o śmierć lub życie stworzonek tak małych, że tysiące ich pomieściłoby się na łebku od szpilki. Wijące się robaczkowo zwierzątka, mierzące zaledwie setną część milimetra i wyruszające na łowy stworzonek jeszcze mniejszych, są już tytanami w tem państwie mikroskopijnem. Rośliny fantastyczne, dla których tą odrobiną wody jest oceanem, otwierają swe kielichy, aby pochłaniać twory jednokomórkowe...

Chwilę narodzin tych istot dzieli często tylko niewiele minut od chwili ich śmierci, według zegara życia ludzkiego. Ale dla nich sekunda, to rok naszego życia i sekunda ta jest pełna walki, dążeń i zawodów takich, jak w bycie naszym.

Niezwykłe refleksje budzi ten film niezwykły, nieskończenie mały, a jednak wstrząsająco wielki, odsłaniając brutalnie to, co w życiu ludzkiem cywilizacja usiłuje złagodzić i ukryć.

S. B.



Prezydent Universal Pictures Corp. Carl Laemmle przebywał niedawno w Berlinie celem zrealizowania znanego dzieła Remarque'a w filmie.



Znana para artystów filmowych Mary Pickford i Douglas Fairbanks przebywa chwilowo w Paryżu.

Ulubieniec publiczności, Conrad Veidt używa kąpieli w basenie pływackim w t. zw. Universal City. Wesołą syreną jest małżonka artysty.

TEATR

WIELKI: 26 b. m. „Wesele Figara". 27 b. m. „Szeherezada" i „Pajace". 28 b. m. „Carmen". 29 b. m. „Halka". 30 b. m. nieczynny.

NARODOWY: Codziennie „Wiosna Narodów" (w cichym zakątku).

LETNI: Codziennie „Proces Mary Dugan".

POLSKI: Codziennie „Artyści".

MAŁY: Codziennie „Koniec Pani Cheyney".

ELIZEUM: Codziennie „Mirla Efros".

QUI-PRO-QUO: Rewja p. t. „Kochajmy się".

MORSKIE OKO: Rewja p. t. „Zabawki dla Warszawki".

KINO CASINO: „Miłość kozaka" z John Gilbert.

UKŁADY I RYSUNKI WYKONAŁ L. CHEJFEC.

Kobieta i lalka

— „A a a, kotki dwa" — nuci maleńka Zuza, Jadzia czy Duda, układając do snu wielką lalę z wypukłemi, niebieskiemi oczyma.

— A żeby była grzeczna, żeby nie płakała, bo mamusia martwić się będzie... Przebiera lalę w nocną koszulkę, kładzie do wózka i z najpoważniejszą w świecie miną opowiada swej zasypiającej córeczce baśnie o śpiącej królewnie.

— To kiedy dopiero rozkwita i jasnemi oczyma na wielki świat patrzy...

Taka mała kobieta z taką wielką lalą...

Nie można, nie można Zdzichu... — szepce dziewiętnastoletnia Zuza, Jadzia, czy Duda, wysuwając się zalękniona z objęć chłopca.

— Co robisz?... Jeszcze mi połamiesz mego pierrota... — patrz jaki ładny. — Ucieka od chłopca, chwyta malowaną lalkę-pierrota z tapczana i za czyna go pieścić.

— Mój mały Koko będzie zazdrosny... Mój mały Koko mnie kocha...

A chłopiec patrzy na smukłą panienkę z lalką w ręce i nie wie, czy złościć się, czy zachwycać przemiłym widokiem.

Wreszcie kapryśny Koko zostaje ulokowany na miękim stosie poduszek i patrzy dobrodusznie na parę młodych, złączonych długim pocałunkiem.

Długie, lśniące auto staje przed domem. Wysoki, wytworny pan wbiega po schodach i całuje żoneczkę. Ma nieco strapioną minę, bo dzisiejsza przejażdżka przyniosła znowu pięć protokułów.



Lalka - maskotka skutecznie broni swą panią przed porażeniem.

— Nie martw się, drogi, — mówi Zuza, Jadzia czy Duda, wybiega z pokoju i po chwili wraca, ukrywając coś starannie.

— Pocałuj, a coś dostaniesz — woła wesoło. — Już ani jednego protokułu. Żaden policjant się nie odważy...

Nie musi powtarzać. Po całej serji pocałunków podaje mężowi granatową laleczkę.

— Masz maskotę, drogi. — Oboje patrzą na wyciągniętego na baczność posterunkowego-maskotę, i po chwili biegną, by zawiesić go w aucie.

Lalki, lalki...

Z zamierzchłych czasów bożki: rzeźbione, ryte w drzewie i kamieniu, lepione z gliny, wypalane-kształtne i niezdarne, piękne i potworne- światowidy i alrauny; a potem zabawki dziecięce, potem rozrywka i kaprys pięknej Pani, maskota, palcami midinetki wyszyta dla dalekiego „poilu"...

Lalki, lalki...

Kobieta-lalka...

Tak źle napisał o niej Prus, tak smutny był Ibsen, tworząc „Norę", a przecież...

Na kłąbach miast wykwitają barwne i pachnące — bezstroskę przynoszą — oczy nasze radują: piękne kwiaty-maskoty-kobieciątka-lale.



Kobieta i lalka, to często dwa synonimy. Dlatego, że są sobie bliskie, często można je spotkać razem. (Metro-Goldwyn i Paramount).



„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie.
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2.
Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN. Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 172-22 i 117-98.